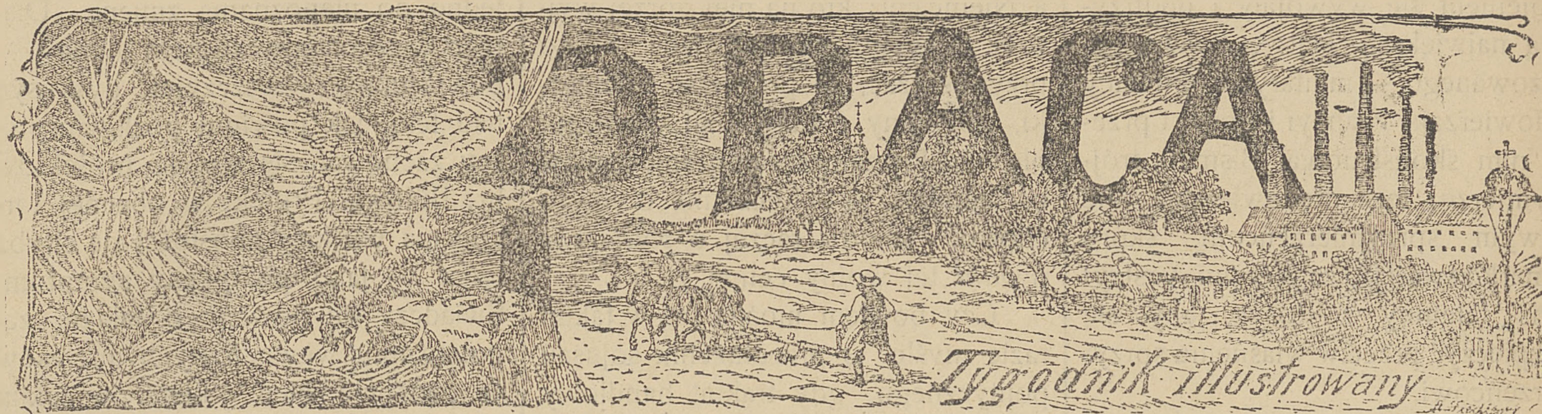


*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 m.**; na poczcie w Austro-Węgrzech **1 kor. 73 hal.***
Pod opaską:** w Niemczech **1,90 mr.**, w Austro-Węgrzech **2 kor. 30 hal.** za Oceanem **1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Niemiecka taryfa celna
a trójprzymierze.

Niedyskrecya jednego z południowych pism niemieckich sprawiła, że świat przedwcześnie się dowiedział o trzymanym w ścisłej tajemnicy projekcie niemieckiej taryfy celnej. Nie pozostało więc rządowi nic innego, jak ogłosić w autentycznem brzmieniu ten projekt, nad którym najpierw ma obradować rada związkowa, a który później dopiero ma być przedłożony parlamentowi. Jest to więc wprawdzie projekt, który tysiącznym może uledz zmianom, ale bądź co bądź znamiennym jest wyrazem dążeń i życzeń rządu.

Ogłoszenie projektu taryfy wywołało niesłychaną sensacyę, ponieważ w sposób wręcz nieprawdopodobny idzie on na rękę niemieckim agraryuszom i prześciga prawie ich najśmielsze żądania.*) Projekt ceł na zboże, na produkty rolne wszelkiego rodzaju, uwzględnia zupełnie życzenia tych właśnie pomorskich i nadłabskich junkrów, którzy dwukrotnie już odrzucili rządowy projekt kanałowy. To jest dowodem niesłychanej słabości rządu. —

*) Szczegółowe omówienie taryfy znajdzie czytelnik w „Przeglądzie politycznym“. *Red.*

Obecnie od kilkunastu dni już toczy się zawzięta walka na łamach dzienników niemieckich o ten projekt taryfy celnej. Kraj cały podzielił się niejako na dwa obozy: agrarno-konserwatywny i przemysłowo-wolnomyślny (liberalny). Niemiecki przemysł w ostatnich czasach poniósł tyle ciosów przez te wszystkie krachy bankowe, że wielkim głosem teraz woła „ratunku“ — gdy na horyzoncie pojawił się projekt wysokich ceł na zboże. Z drugiej strony dufni w swą potęgę i przewodzenie rządowi konserwatyści-agraryusze wołają, że nie odstąpią ani na jotę od projektu. Widzimy niezwykły zamęt, przerywany co parę dni tylko odgłosem krachu jakiegoś znowu niemieckiego przedsiębiorstwa lub banku. Na pobojowisku ekonomicznem leżą już trupy, nad nimi wre gorący wir walki, a wokoło zaściełają horyzont ciężkie chmury: tak się przedstawia wewnętrzna sytuacya w Niemczech, wytworzona przez projekt taryfy. A na boku stoi rząd, któremu zarzucają, że zupełnie stracił głowę, że poddał się konserwatystom i zupełnie bezładnie uprawia politykę z dnia na dzień.

Jeśli tak się przedstawiają stosunki wewnętrzne na polu polityczno-ekonomicznem, to niemniej silny ich refleks widać i na stosunku poszczególnych rządów państw niemieckich do centralnego rządu cesarskiego.

Z kilku stron już podnoszono fakt, że opublikowanie przedwczesne zostało wywołane wskutek umyślnej niedyskrecyi popełnionej przez rząd wirtemberski, który chciał pokrzyżować projekty pruskich junkrów i wywołać powszechny szturm opinii publicznej na projekt taryfy, aby go uniemożliwić. To samo mówią i o przemysłowej Saksonii, która wielkie straty by poniosła w razie uchwalenia projektu. Oba te państwa i kilka mniejszych agitują skrycie przeciw pruskim projektom, nie śmiąc otwarcie wystąpić w opozycyi.

Tak się przedstawiają w najogólniejszym zarysie wyniki projektu taryfy celnej.

Po za doniosłością dla wewnętrzno niemieckich spraw, ma ten projekt wielkie znaczenie polityczne w sferze polityki zewnętrznej.

Obecnie polityczna konstellacya państw europejskich wyraża się w przeciwstawieniu trójprzymierza (Niemcy-Austrya-Włochy) dwuprzymierzu (Francya-Rosya). W trójprzymierzu rej wodzą Niemcy, na których wedle znanego przysłowia „czapka gore“ i które dlatego wszyst-

kich się obawiają i niedowierzają nikomu; zbroją się więc ciągle, a swem zbrojeniem się wywołały i podtrzymują największą klątwę świata cywilizowanego — militaryzm. Niemcy niedowierzają Francyi i Rosyi i przeciw nim skonstruował Bismark trójprzymierze; lecz niedowierzają one i swym sprzymierzeńcom, skoro Bismark zawarł po za plecami Austryi alians tajemny z Rosyą, aby się ubezpieczyć przeciw własnemu sprzymierzeńcowi.

I te niezdrowe stosunki, znane w Europie pod nazwą „równowagi europejskiej“ wymagają ciągłego podwyższania ilości wojska pod bronią i prowadzą do ekonomicznej ruiny.

Jedyną ich przeciwwagą są obecnie traktaty handlowe, które umożliwiają istnienie normalnych stosunków handlowych we wzajemnej wymianie produktów.

Tu projektowana taryfa celna niemiecka robi niesłychany wyłom. Zarówno wobec państw sprzymierzonych, t. j. Austryi i Włoch, jak i wobec innych, np. Rosyi, z którą istnieje ożywiony handel zbożem, taryfa niemiecka rozprawia się, jak z naturalnym wrogiem; odgradza się od niego murem jednostronnych korzyści własnych.

Bardzo słaba ekonomicznie Austrya, dla której eksport do Niemiec jest kwestyą pierwszorzędnej wagi, została przez swego niemieckiego przyjaciela tak potraktowana, że w jednej chwili ucichła wrzawa wewnętrznej walki, a jeden tylko głos się odzywa na Węgrzech i w Austryi: „Brońmy się przed ekonomiczną ruiną, którą nam grożą Niemcy“.

Jakaż to może być obrona? — Jedynie tylko retorsyjne rozporządzenia celne, to jest nałożenie na import z Niemiec równie wysokich ceł, jak Niemcy nałożą na import z Austryi. Cła niemieckie dotkliwie dadzą się uczuć w Austryi rolnictwu, cła austryackie — niemieckiemu przemysłowi. Nazywa to się wojną celną, a trwa tak długo, dopóki jeden z przeciwników nie wyczerpie sił swych i nie powie: dość!

Wyobraźmy więc sobie taką wojnę celną pomiędzy Austryą a Niemcami: kto na niej gorzej wyjdzie, to się przewidzieć nieda; wolno przypuszczać, że przemysł niemiecki, osłabiony niedawnymi krachami, nie zniósłby zamknięcia granic państw ościennych. — Lecz nie o to tu chodzi. Chodzi raczej o *polityczne wyniki* tej wojny celnej.

Czy bowiem można już w takim razie myśleć o przedłużeniu sojuszu politycznego, gdy traktat handlowy nie dojdzie do skutku?

Napewno raczej twierdzić można, że każdy krok, który nas zbliża do urzeczywistnienia projektowanej taryfy niemieckiej, zbliża nas równocześnie do rozbicia trójprzymierza.

Dość tylko spojrzeć, co pisze prasa austryacka, węgierska i włoska. Sojusznik polityczny nie jest tak głupi, aby dać się wyzyskiwać Niemcom na polu ekonomicznem, a wysługiwać się im na politycznem. Traktat handlowy i trójprzymierze kończą się prawie równocześnie, a gdy traktat handlowy stanie się niemożliwy — to i trójprzymierze się Niemcom z rąk wysunie. Widzimy więc jasno jak na dłoni: projekt taryfy celnej podminował na śmierć całe trójprzymierze; cóż tu powiedzieć wobec tego, że Niemcy skarżą się wciąż na polską intrygę przeciw trójprzymierzu. Tu warto przytoczyć im będzie słowa: „*ipse fecisti*“ — „sameś zawinił, przyjacielu!“ — —

W powyższych zdaniach wykazaliśmy znaczenie tego projektu celnego dla sfer najbliżej interesowanych, — dla samych Niemiec i dla sąsiadów i sprzymierzeńców cesarstwa niemieckiego. Widzieliśmy, jak niezwykle silny refleks polityczny rzuca ten projekt taryfy celnej na istnienie trójprzymierza; — zobaczmy teraz jakie on ma ściślejsze znaczenie dla naszego społeczeństwa.

Sądzimy, że o wiele przedwczesną rzeczą byłoby dziś debatowanie nad tem, jaką postawę winno zająć nasze społeczeństwo wobec tego projektu taryfy celnej. Projekt ten musi przejść przez obrady Rady Związkowej a ta, wnosząc z opozycyi, jaka się podniosła w całych Niemczech przeciw niemu, bezwątpienia niejedno zupełnie wykreśli, a niejedno do niepoznania zmieni. Dlatego więc przedwczesnem byłoby — powtarzamy — wszczynać dyskusyę nad tem, jak powinni posłowie polscy zachować się wobec projektów hr. Bülowa. Projekt w obecnej formie ma wielką doniosłość, ale chyba tylko — jako polityczny symptom. Świadczy on bowiem o takiem zagmatwaniu wewnętrznych interesów w państwie niemieckiem, o takim rozstroju w wewnętrznych jego stosunkach politycznych, że popełniłoby nasze społeczeństwo doprawdy akt niczem niewytłomaczonej i niedarowanej nierozwagi, gdyby chciało projekt ten wziąść u siebie za hasło do wewnętrzego podziału na dwie partye: za cłami i przeciw cłom. My, owszem, stać możemy i, założywszy ręce, spoglądać na to, co się teraz święci w Niemczech. Niech bezład w polityce wewnętrznej Niemiec ogarnia wszystkie sfery, niech uzbraja mieczem gniewu jedne klasy niemieckiego narodu przeciw drugim, niech w polityce zewnętrznej sprowadzi rozłam między niemi, a ich sprzymierzeńcami; *nam trójprzymierze nie zapewniało żadnych korzyści, a dawało tylko poczucie, że dopóki ono istnieje, dopóty my skazani jesteśmy na nierówną walkę obronną z nieprzyjacielem naszej narodowości.* Niechaj więc runie trójprzymierze — bo na niem tylko Prusy i Niemcy opierały swą siłę kosztem innych państw i narodów. Ze zdumieniem patrzyliśmy na to, jak Austrya i Włochy, zahypnotyzowane militarną potęgą Prus, pozwalały się wyzyskiwać przez sprytnego sojusznika, a dziś, widząc jak w Austryi i w specyalnie przez taryfę cłową pokrzywdzonej Galicyi podniósł się krzyk oburzenia przeciw Niemcom, żałować tylko możemy, że ten otrzeźwiający ościenne państwa niemiecki prysznic przyszedł tak późno. Może teraz wreszcie, gdy zostały zadraśnięte najżywotniejsze interesy ekonomiczne państw ościennych, spostrzegą sojusznicy Niemiec, że te Niemcy, — których finanse są za-

chwiane stekiem złodziejstw finansowych i bankowych krachów, — których wewnętrzna siła jest naruszona przez zawziętą walkę sfer przemysłowych z rolniczemi, — a których *siła zewnętrzna* opiera się na chwiejnym i grząskim gruncie krzywd, wyrządzanych Polakom na wschodzie, Duńczykom na północy, Francuzom na zachodzie, — może spostrzegą, powiadamy, że te Niemcy nie są sprzymierzeńcem pewnym i silnym.

Taryfa projektowana już im oczy otwiera na to.

A my, a Polacy? Był czas, kiedyśmy się w niechęci ku trójprzymierzu krępowali względami na naszych rodaków z Galicyi, oni bowiem sądzili, że egzystencya Austryi, a zatem i ich swoboda, związana jest z trwaniem trójprzymierza. Teraz jednak, gdy najostrzejszą opozycyę przeciw zamysłom niemieckim widzimy właśnie w monarchii rakuskiej, nie potrzebujemy taić przed sobą, że przez tę taryfę celną Niemcy sami grób kopią swym politycznym wpływom i swej potędze.

Im Niemcy się bardziej uwikłają w wewnętrznych i zewnętrznych trudnościach tem mniej będą miały siły do wynaradawiania ziem naszych.

Niech więc państwo niemieckie posuwa się ku wewnętrznemu osłabieniu swej siły i ku zerwaniu zewnętrznych sojuszników, które stanowiły jego siłę — gdyby to od nas miało zależeć, staralibyśmy się, aby taryfa celna prędzej stała się prawem uchwalonem, a *tem prędzej ujrzelibyśmy wszystkie cechy upadku, którego taryfa ta jest zapowiedzią.* *Vester.*



Znak czasu.

Gwarno i głośno jeszcze w prasie polskiej o wyborach w Nadrenii. My, dając czytelnikom naszym przed sześciu tygodniami szczegółowy obraz stosunków politycznych nad Renem, gdy jeszcze nikt wtedy o nich nie pisał, czujemy się w pewnej mierze zwolnieni ze streszczania głosów pism, ponad te głosy bowiem silniej i donośniej przemawia mowa faktów — a kto tę rozumie, wie, że teraz już kamień, trącony z góry, potoczy się z coraz większą siłą i spadając nadół porywać będzie ze sobą całą lawinę. —

Wyborczy ruch w Nadrenii przedstawiał się imponująco. Pomimo braku funduszów na agitacyę, nasi Polacy uwijali się po całym okręgu wyszukując każdego wyborcę, pouczając go, że jest Polakiem i że w imię polskich haseł powinien się łączyć z braćmi, powinien dać dowód, że jest, że żyje, że go fala germanizacyjna nie zalała!...

I z sąsiednich okręgów i powiatów westfalskich nasi dzielni wiarusy przybywali, aby wziąść udział w agitacyi. Ilu tam nawpół oszołomionych germanizacyą Polaków ocucono, ilu otrzeźwiono ożywczemi hasłami narodowemi, któżby to zliczył. Wybory były prawdziwem świętem narodowego ducha!

Głosowało 80 procent wyborców a zgromadzono prawie *trzy tysiące* głosów. I tylko nieznajomość stosunków, nieznajomość liczby osiadłych tam Polaków dyktować może niektórym pismom zapytrywanie, że część głosów polskich poszła na socyalistę! Nietylko, że tych polskich głosów na socyalistę nie padło wiele, ale nawet, jak z wiarogodnego wiemy źródła, część t. zw. polskich socyalistów, a przynajmniej tacy, co się skłaniali ku socyalizmowi i w razie głosowania na centrowca byliby oddali głosy socyaliście — *głosowała na Polaka.* Takiej solidarności i jednomyślności dawno już nie można było widzieć na obczyźnie. Mówią też, że wielką zasługę położył „*Wiarus*“, który wprawdzie, dopóki decyzya nie zapadła, zdania swego nie wyjawiał, ale później zasady śmiało bronił.

Donoszą też nam, że na Polaka *razem z Polakami głosowała (nieliczna zresztą wogóle) garstka ewangielickich Mazurów, którzy dotychczas zawsze stronili od łączności z Polakami a z powodu odrębności wyznaniowej na centrowca nie głosowali i w ten sposób powoli się zupełnie wynaradawiali.* Daj Boże, aby nasi rodacy na obczyźnie na ten szczep narodu polskiego, z powodu ewangielickiego wyznania narażony na największe niebezpieczeństwo, baczną rozciągali uwagę.

Piszą nam też, że mianowicie robotnicy nasi prości w Nadrenii najwięcej położyli zasług w pomyślnym wyniku wyborów, oni to bowiem, a nie ci przemysłowcy, którzy bardziej od robotników powinni byli iść w pierwszym szeregu, zajmowali się agitacyą.

Wiece przedwyborcze polskie, nawet we dnie powszednie, były przepełnione nad wszelkie oczekiwanie. Dlatego też największa zasługa, największa chluba z pomyślnego wyniku wyborów *okrywa naszego polskiego robotnika przemysłowego, który z fabryki i z kopalni szedł na arenę polityczną* w pełnej świadomości swych praw, w pełnem zrozumieniu celów, do których dąży.

Cześć Wam za to robotnicy, polscy nad Renem!

Przy wyborach pokazało się, jakto partya centrowa chce się obchodzić z Polakami. Nas nad Renem i w Westfalii jest blizko 200 tysięcy, w pięciu okręgach wyborczych mamy więc przynajmniej ze 40 tysięcy głosów, mamy naszą z dawna istniejącą i legalną organizacyę wyborczą, a centrowcy postanowili nas zupełnie ignorować, postanowili, mianowicie w ściślejszych wyborach, nawet nie zwracać się do polskiego komitetu wyborczego, bo nie chcą go uznawać za prawy i legalny. *Taką jest ich idea o równouprawnieniu politycznem!*

To też jeśli oni nas znać nie chcą — i my ich znać nie potrzebujemy. Dlatego oto komitet wyborczy na czas wyborów ściślejszych z dnia 2 sierpnia ogłosił następującą odezwę:

Rodacy!

Podpisany główny komitet wy-

borczy dla Westfalii, Nadrenii i sąsiednich prowincyi wyraża wam uznanie i składa dzięki, że w dniu 25-ym lipca spełniliście tak dzielnie swój obowiązek obywatelski, oddając poważną liczbę 2717 głosów na kandydata polskiego p. Leona Czarlińskiego z Torunia. Cześć wam za to, kochani Rodacy!

Ponieważ żaden z kandydatów nie otrzymał bezwzględnej większości głosów, przeto ma się odbyć wybór ściślejszy między narodowym liberałem i centrowcem. Narodowy liberał to wróg Polaków i katolików, a więc na niego pod żadnym warunkiem głosować nie możemy.

Ale i centrowcy swojem bezwzględnem wobec nas postępowaniem nie zasłużyli na nasze poparcie, a zresztą wcale nas o poparcie nie prosili, co dowodzi, że nas znać nie chcą i pomocy naszej nie pragną. Kto nas nie zna, tego i my znać nie chcemy i nie będziemy się dla niego narażali w dniu wyborów.

Dlatego wzywamy wszystkich wyborców Polaków, aby się w dniu wyborów ściślejszych wstrzymali od głosowania i wcale nie szli na wybory. Wymaga tego godność nasza jako Polaków i jako ludzi pracy. Szanujmy się sami a inni nie będą nas lekceważyli.

Rodacy! Dla nas wybory się skończyły, a więc dnia 3-go sierpnia pozostaniemy w domu. Niech Niemcy czubią się między sobą!

Bochum, dnia 28 lipca 1901.

Główny komitet wyborczy
dla Westfalii, Nadrenii i sąsiednich prowincyi.

Stanisław Krzyżański. Andrzej Stelmaszyk. Michał Smektała. Józef Regulski. Walenty Piotrowski. Franciszek Kordylasiński. Apolinary Wojczyński. Jan Bieliński. Wojciech Grzegorski. Paweł Lackowski. Michał Maliński. Franciszek Nowak. Bartłomiej Wilkowski. Stefan Rejer. Walenty Chwiałkowski.

Do tej uchwały komitetu wyborczego dodamy jeszcze jednę tylko uwagę — a mianowicie życzenie, aby w przyszłych wyborach w roku 1903 wszystkie okręgi westfalskie tak dzielnie się spisały, jak teraz Duisburski. Najpiękniej się teraz pokazało *Hamborn* („Praca“ ma tam 48 czytelników), oddało bowiem 949 głosów, podczas gdy centrum tamże otrzymało 1452. W *Oberhausen* Polacy mieli 670 głosów („Praca“ 47 abonentów). *Duisburg* 274 głosów („Praca“ 35 abon.) *Styrum* — 258 głosów („Praca“ 24 abon.) *Meiderich* 152 głosy („Praca“ 13 abonentów.) *Beeck* — 328 głosów („Praca“ 22 abon.) —

Obecne wybory mają niezmierną zasadniczą wagę. A mianowicie Polacy po raz pierwszy otrząsnęli się z zależności Centrum.

Nasi bracia nad Renem nie wiedzieli może dokładnie, że swym czynem kładą palec na najboleśniejsze miejsce polskiej polityki w zaborze pruskim — na stosunek do Centrum. Lecz jeśli oni, osądzając sytuacyę nie z wysokości ogólnej polityki, lecz biorąc miarę ze stosunków praktycznych w powiecie, osądzili, że niemożliwem jest dalsze wysługiwanie się centrowcom, to inaczej tego nazwać nie można, jak *poważnym znakiem czasu.*

Nie wyższa polityczna rachuba, nie żadne kombinacye polityczne, ale siła samych faktów, same stosunki popychają lud polski do wypowiedzenia służby centrowcom. A ponieważ na obczyźnie bawią samodzielniejsi, wykształceńsi, inteligentniejsi członkowie narodu naszego, przeto tam prędzej i wcześniej obudził się ten duch samodzielności.

Jest to, powtarzamy, *znak czasu, którego doniosłość dopiero później w całej pełni się pokaże* — który jednak już dziś hen z nad Renu rzuca snop światła na ciemną i niejasną sytuacyę polityczną na Górnym Ślązku. Przykład braci na obczyźnie podziała na lud i w kraju, a w przyszłych wyborach na Górnym Ślązku zerwą się narodowe hasła z wędzidła centrowych polityków.

Co daj Boże! *Ordon.*



Kłosy chleba i kłosy myśli.

Żniwa!...

Po trudach orki, siejby i plewienia, nareszcie nadeszły dni zbiorów i praca rolnika wynagrodzona obficie.

Skrzypią wozy naładowane snopami, stodoły i szopy i brogi zapełniają się, a jakiekolwiek by były smutki i troski w około, czoło musi się wypogodzić i rozjaśnić...

Tak bywa z ziarnem na chleb i z kłosami zbóż...

Ale w świecie myśli i ducha takich świętych dni żniwa niema oznaczonych przez porę lata, słonecznych dni i pogodę sierpnia... Czasem — po długich i mozolnych latach pracy, ani razu żniw się nie dojrzy.

Czasem, strzeli ledwie tu lub tam kłosek jeden, a już i czyhają wrogowie, aby go złamać, zdeptać i zniweczyć. Dlatego siejba myśli i uczuć prawie zawsze jest poświęceniem wielkich serc, a tylko wybrane jednostki mogą do tej pracy zabierać się.

Ci — którzy tylko biorą biernie ziarna siane do ręki, którzy tylko szukają w nich rozrywki i rozweselenia, a niejeden raz jeszcze radziby dopatrzyć coś, coby mogli wyśmiać i skrytykować, ci — ani mogą zrozumieć i pojąć, ile to trzeba w sercu mieć ognia, w myśli zapału i zaparcia się, aby siać myśli wśród rodaków i nie czekać na żniwa wcale. Kłosy chleba wzejdą w jednej wiośnie i w jednem lecie dadzą plony, a kłosy myśli, prawdy i wiedzy wschodzą nie zbyt często, jeszcze rzadziej zaś przynoszą plony...

Jak rolnicy, siewcy i żniwiarze wiedzą dobrze, iż pracują dla drugich nie dla siebie, tak i ci, którzy sieją myśli — czują to dobrze, iż cała ich praca jest dla drugich i tylko dla drugich...

Jak rolnik, siewca i żniwiarz spodziewa się za swoją pracę otrzymać wynagrodzenie, tak siewca myśli i uczuć pragnie tylko, aby go zrozumiano i myśli jego dalej rozrzucano...

Jakże przecie inaczej życie wywdzięcza się rolnikom, a jak inaczej poetom, pisarzom i myślicielom... Nie patrzmy na blaski gwiazdy naszej literatury, Sienkiewicza, który za życia doczekał uznania i wdzięczności, bo to wyjątek nad wyjątkami, lecz wspomnijmy o wielkiej liczbie pracowników dla kłosów myśli, a my ich nie chcemy znać, rozumieć i uszanować...

Każda gazeta nasza, jaka wychodzi z druku, niesie taki snop kłosów myśli ludzkich i woła każdym wierszem prawie, abyśmy podnosili się duchowo — moralnie i realnie...

Lecz wieluż jeszcze jest wśród nas,

którzy niechcą tego czytać, ani rozumieć, ani ocenić...

Jeśli idziemy miedzą polną, a napotkamy kłosy obalone przez wiatr, podnosimy je dłonią, żałując, by po nich deptały stopy... Lecz ileż razy nieuszanujemy myśli ludzkiej posianej w książkach lub gazetach?... Aby kupić kęs chleba — każdy o to się troszczy i stara, ale aby mieć drobinę z myśli ludzkich pouczających i wołających do życia gorętszego dla Boga i Ojczyzy — ledwie tu lub tam kto się o to potroszczy...

Obojętni jesteśmy na życie myśli i serca i dlatego wrogowie uznają nas za tak słabych, iż damy się im podeptać i zgnieść... Dlatego powinniśmy protestować czynami. Żniwa kłosów dla chleba niech idą w parze z żniwami kłosów dla myśli i serca... Nie dość zapełnić stodoły i brogi, trzeba wzbogacić i chaty i mieszkania w kłosy myśli, a wtedy spotężnieje nasz duch i poczujemy się mężniejsi do obrony...

Przez literaturę, wydawnictwa i oświatę działa się częstokroć silniej jak przez walki i boje, ale jak do boju tak też do popierania oświaty potrzeba jedności i zwartych szeregów... Więc uszanujmy pracę naszych poetów i literatów. Czytajmy rzeczy narodowe — poczciwe... bo czytanie, to wielki siew na żniwa jutra!...

Jadwiga S.



Teatr ludowy na Górnym Ślązku.

Podobnie jak w innych dzielnicach polskich pod zaborem pruskim, tak i na Górnym Śląsku istnieją towarzystwa polskie, których celem jest wzajemne pouczanie się i pielęgnowanie wspólnej zabawy. Zachodzi tylko pewna różnica pomiędzy polskiemi towarzystwami Wielk. Księstwa Poznańskiego a Górn. Śląska, a mianowicie w W. Ks. Poznańskiem są tylko towarzystwa takie, których tendeńcya nie sprzeciwia się duchowi narodowemu. Tymczasem na G. Slązku znajdujemy obok towarzystw z rzetelną tendencyą i takie towarzystwa, które pod maską językową służą celom pruskim — germanizacyjnym. Na czele tych ostatnich stoją niestety księża, a nazwiska owych smutnych towarzystw mają zwykle charakter religijny.

Nie wszystkie towarzystwa z nazwiskami religijnemi są atoli antypolskie. — Jako narodowe towarzystwa są nam znane: w Katowicach „Tow. przemysłowe,“ w Bogucinie „Tow. dobroczynności,“ w Zawodziu „Tow. kat. mężów i młodzieńców pod opieką św. Szczepana,“ w Rozdzieniu „Sokół,“ w Załężu „Tow. kat. mężów i młodzieńców pod opieką św. Józefa,“ w Król. Hucie „Tow. Przemysłowe,“ w Bytomiu „Sokół“ i „Tow. Przemysłowe.“

Posiedzenia tych towarzystw odbywają się regularnie przy ożywionym udziale członków, a przedmiotem posiedzeń są odczyty, śpiewy i sprawy wewnętrzne towarzystw. Nie brakuje również i występów publicznych, a mianowicie teatrów amatorskich, na które przez porozlepione po ulicach i drogach afisze publiczność się zaprasza. Rozumie się, że te publiczne zaproszenia rażą bardzo Niemców-hakatystów, którym się nie podoba rozszerzanie oświaty na podstawie narodowej pomiędzy ludem polskim.

Spółka H. K. T., posiadająca znakomitą organizacyą na G. Slązku, zamierza przez władze miejskie otworzyć dla ludu polskiego *teatr niemiecki*, a w ten sposób wytworzyć konkurencyą naszym amatorskim teatrom. W tym celu odbyła się w Król. Hucie konferencya przedstawicieli miast obwodu przemysłowego, która jednakowoż do decyzyi jeszcze nie doprowadziła. W tej sprawie piszą do „Schles. Ztg.“

„Niesłusznie zarzucają miastu Król. Hucie, jakoby jego przedstawiciele, a mianowicie wielce zasłużony pierwszy burmistrz mieli własny interes miasta na oku, gdy oni tymczasem zupełnie przeciwnie poświęcili się bez interesu sprawie, która ma służyć klasie robotniczej całego obwodu przemysłowego. Oświadczyli oni i w sobotę, co też już i dawniej czynili, że się przyłączą do sprawy, chociażby i inne miasto miało zostać środowiskiem rzeczonego przedsiębiorstwa. W dobrze zrozumianym interesie zaakcentowali jednakowoż, że Król. Huta najwięcej się nadaje na siedlisko wymienionego teatru ludowego, ponieważ jego mieszkańcy w nadzwyczaj wielkiej liczbie są robotnikami, a geograficzne położenie tego miasta wskazuje, że jest środkiem obwodu przemysłowego. Przedstawiciele Katowic podzielali to zdanie, gdy tymczasem przedstawiciele Bytomia nie mogli się pogodzić z tem zapatrywaniem, że tu nie chodzi o własny interes miasta Król. Huty i dlatego chętnie by chcieli nowotworzący się teatr niemiecki dla polskich robotników w Bytomiu założyć. Przedstawiciele Gliwic, których interes w tej sprawie był mniej znaczny, ponieważ Gliwice stosunkowo niewiele robotników posiadają, przysłuchiwali się obradom obojętnie. Przedstawiciele poważnych przedsiębiorstw przemysłowych G. Slązka godzili się w zupełności na przedłożony plan założenia teatru niemieckiego dla ludu górnoślązkiego.“

Nowe sidła na nasz lud górnoślązki przez hakatystów zastawione powinny naszą baczność na niebezpieczeństwo grożące narodowości polskiej podnieść, a towarzystwa na G. Slązku istniejące niech swych członków ostrzegają zawczasu przed syrenimi głosami obłudnej hakaty. Wiadomo bowiem, że już od dość dawna hakata swoją krecią pracę na G. Śląsku podjęła, co się mianowicie w urządzaniu tak zwanych *Volksunterhaltungsabendach* uwidocznia. Baczność więc rodacy, bo narodowość nasza jest zagrożona. Łączmy się wszyscy w towarzystwa polskie, bo tam nasza narodowość rzeczywiście doznaje opieki!

Zarządy towarzystw naszych dobrze by zrobiły, aby jeszcze pilniej niż dotąd zajmowały się urządzaniem polskich teatrów amatorskich, w ten sposób bowiem można jedynie sparaliżować zamiary germanizacyi przez teatr niemiecki. Prawda, że policya na Górnym Śląsku wręcz niezwykłe stawia trudności teatrom amatorskim, ale z drugiej strony przeszkody te przyczyniają się tylko do obudzenia tem żywszego poparcia ze strony polskiej ludności.

Im większe trudności — tem większa też i zasługa. *Nin.*



O języku ojczystym.

Rzecz odpowiednia do wygłoszenia na zebraniach i wiecach,

napisał Jan Darski.

(Ciąg dalszy).

Po za temi granicami, które kościół, szkoły i kancelarye rządowe stanowiły, rozwijał się język nasz odpowiednio do zewnętrznych warunków, powstawały narzecza, stanowiące bogactwo każdego języka.

Ponad tą gminną mową ludu, czy to kaszubską, mazurską, czy śląską panował ten sam, tylko ociosany, przez uczonych opiłowany język, jaki od 500 lat istnieje w dziełach naszych pisarzy i poetów — jako język ucywilizowany, ukształcony, prawdziwie kulturny, europejski. On jest tą spójnią, która wszystkie stany od księcia, aż do robotnika łączy jednym węzłem wspólnależności do jednej ojczystej macierzy.

Język jest krwią, która opływa, odżywia i ożywia wielkie ciało narodu — do ostatnich członków i kończyn nieznanych dosięga, do najodleglejszych członków dociera i zbliża ich do serca Ojczyzny.

Wytocz z człowieka krew, a ubiegnie z nią i życie jego — wytocz z narodu język, a ubiegnie z nim żywot jego. Naród żyje dopóki język jego żyje, bez języka narodowego nie ma narodu — tak powiada słusznie nasz wielki myśliciel. Język jest obrazem myśli i uczuć

narodu. Jest-to głos Ojczyzny z jej serca i ducha wydobyty. Ojczyzna nim do swych dzieci przemawia, i dziatwa rodzona między sobą nim przemawia i rozumieją się dzieci z macierzą.

Po języku jak po osadzonych warstwach ziemi poznasz wiek i życie narodu, poznasz jego charakter i usposobienie, jego stopień oświaty, nawet chorobę i skłonności narodu. Po języku poznasz, czy naród nie dbając o swą odrębność narodową poczyna się łączyć z obcymi — bo wtedy zaczyna kazić swój język pożyczanemi z innych mów wyrazami — kto chce soki żywotne narodu wyczyścić, kto chce krew jego nieskażoną zachować, tętno przyspieszyć, ten przedewszystkiem winien zabrać się do pielęgnowania i wykształcenia mowy ojczystej.

Ostatnie wieki naszego bytu narodowego skrócone były używaniem języków obcych — to też miłość Ojczyzny coraz więcej ginęła, a niemoc poczęła cały naród ujarzmiać. Widząc, że Rzeczpospolita chyli się ku upadkowi utworzyła się w łonie zacnych mężów t. zw. Komisya edukacyjna i poczęła starać się o podniesienie poziomu języka.

Sławny w owym czasie żyjący Piar ks. Onufry Kopczyński, czuł całą duszą swoją, miłości Ojczyzny pełną, ile język narodowy znaczy, to też w przedmowie do swej wiekopomnej gramatyki wołał: „Kochany Narodzie; losy bytu naszego bardzo go chylą ku zgubie i język też za sobą ciągną. O miłości Ojczyzny! o żądzo narodowej sławy! o zacności polskiego języka! czyliż razem z odmianą panów ziemi ginąć macie? Dwa sławne przykłady Greków i Rzymian nie dadzą nam rozpaczać o nieśmiertelności naszego imienia. Wymazane są z karty geograficznej dwa te najsławniejsze narody, a imię ich od początku historyi politycznej i moralnej błyszczy przed wszystkiemi. Cóż im tę sławę zjednało? Język. Język pełen umiejętności, pełen wdzięku, pełen mocy, malujący najbliżej i najjaśniej najskrytsze rozumu i serca ludzkiego tajniki.“

W tych głębokich prawdach powyższych słów dla nas zawarty jest skarbiec cały nauki i wskazówek.

One nam przypominają, że cała potęga ducha naszego narodu zawartą jest w języku samym, że wszystkie geniusze złożyły w hołdzie dań językowi, że cokolwiek naród nasz miał wielkiego, to w język wlał, że język to święta krew naszej matki Ojczyzny.

Powinna ona nam być taka droga, jak drogą była pierwszym chrześcianom krew męczenników przelana za Chrystusa. Zbierali ją oni we flaszeczki i dawali do grobu z napisem: „pro Christo“ — za Chrystusa przelana.

I my winniśmy walczyć za nasz język, tę krew matki Ojczyzny naszej — abyśmy pozostawili dalszym pokoleniom tę świętą spuściznę, a pamięć swą zostawili w sercach swych potomków, jako tych, co mężnie walczyli i cierpieli za najświętszą sprawę.

Ci, co obojętni są na język ojczysty, są jak poganie obojętni na światło ewangeliczne; ci zaś, co pogardzają i poniewierają nim, a nawet zapominają go i zatracają w dzieciach swoich, są jak okrutni prześladowcy pierwszych wieków, co w zaślepieniu krew wyznawców prawdziwej wiary wylewali.

Jest za co walczyć — są tysiączne powody prócz wspomnianych, aby szanować ten swój język, a dzisiaj większe niż kiedykolwiek.

Dawniej sądzono w Europie, iż język nasz, to język nieukształcony, barbarzyński, nie posiadający swego piśmiennictwa — ale dzisiaj cały świat czytuje utwory naszych pisarzy i naczytać ich się nie może — dzisiaj w Europie czy w Ameryce wyrywają sobie dzieła naszych polskich autorów.

Więc mamy wszelką pewność, iż język nasz, to nie jakieś nieudolne narzecze szczepu, skazanego na zagładę, ale język uzdolniony, wydoskonalony, język, który świadczy o nas, że żyjemy i postępujemy i że mamy przyszłość przed sobą.

Nikt z nas nie wierzy, aby Bóg w swej sprawiedliwości lepszej naszej ziemi nie miał życzyć.

Ale gdyby wśród nas był człowiek taki, któryby patrząc jak niemiecki filister krótkim swym wzrokiem na sposób ludzki materyalistyczny, chciał przesądzać o naszej przyszłości i nie wierzył w zmiłowanie Boże, jeszczeby taki nie mógł zarzucić języka polskiego.

Lat temu dwa tysiące i dwieście Grecya straciła swą niepodległość, 16 wieków mija od chwili upadku państwa Rzymskiego, a jednak język grecki i rzymski do dziś dnia — rzec można — panuje nad światem — bo dziś nikt nie może nazwać się wykształconym, ktoby tych języków nie znał, co więcej — nikt wielu wyrazów w swej własnej mowie nie rozumie, które z greckiego i łaciny przeszły i się utrwaliły. A skąd ten wpływ tychże wymarłych ludów na tak dalekie wieki?

Jest to skutek pielęgnowania języka ze strony tych narodów, przez dbałość o jego zachowanie, czystość i ukształcenie.

Lecz może wśród tak strasznych stosunków, w jakich żyjemy, znajdzie się człowiek obojętny na powyższe wywody, człowiek, który sobie powiada: tam ojczyzna moja, gdzie mi dobrze — który widzi, że na obczyźnie niejeden już zaprzepaścił swój język ojczysty i w domu z dziećmi po niemiecku mówi.

Ach, gdyby można wejrzeć w mózg takiego człowieka, toby przerazić się trzeba, jaki niepokój sumienia taki człowiek znosić musi, jak on napróżno stara się je okłamać, że to wszystko jedno, jakim kto językiem mówi. Ale tak jak ten, kto przechodzi na luterską wiarę, nigdy nie znajdzie spokoju, choćby codziennie sobie powtarzał, że każda wiara jest równie dobra, tak też i ten zaprzaniec swego języka mimo dobrobytu do śmierci zgryzot sumienia nie pozbędzie.

Niech więc ten, który się chwieje co do zmiany swego ojczystego języka najprzód przyjrzy się naszym wychodźcom, jak oni wśród obcych, którzy złotem za ich pracę płacą, nie czują się szczęśliwi, jak oni stęsknieni rok rocznie wracają do swej Ojczyzny, aby w swych ubogich rodzinnych zagrodach na piaskach wielkopolskich nałykać się powietrza ziemi ojczystej, nabrzmiałego tonami języka naszego.

Cóż ich ciągnie do tej ziemi sierocej i wdowiej — samej biednej, nic dać niezdolnej prócz spuścizny prześladowania od lat najwcześniejszych?

Oto ten język lat dziecinnych, ta mowa, w której po raz pierwszy w życiu najsłodsze wymówili słowa: ojcze — matko — ta mowa, w której pierwsze ku Bogu popłynęły ich modlitwy, ta mowa, która piosenki najcudniejsze ze serc na usta im wydobyła, ta mowa serdeczna jedyna, w której pierwszej miłości wyznanie objawili — ta nasza ukochana, najdroższa święta, jedyna w świecie polska mowa.

(Dokończenie nastąpi.)



Z dziejów kulturkampfu.

IV.

Weźmy którąkolwiek z wychodzących podówczas w Księstwie gazet polskich, a w szeregu lat 1874—1878 raz po raz napotkamy wiadomości, jak poniższa:

„Środa, dnia 27 Września 1875 r. Dziś o $^3/_4$ 8 z rana przybył zastępca radcy ziemiańskiego, asesor rejencyjny p. Rabe, w asystencyi miejscowego burmistrza do zakładu Sióstr Miłosierdzia i, zażądawszy przełożonej, oświadczył jej, iż od tej chwili zakład w całej rozciągłości się znosi; siostry mają natychmiast wyjeżdżać, tylko przełożonej wolno pozostać do chwili, w której znajdujący się w zakładzie chorzy nie wyzdrowieją. Nowych chorych przyjmować nie wolno.“

I trzebaby chyba kompletną statystykę ułożyć, aby przechować potomności

pamięć o wszystkich tych gwałtach, popełnianych pod szczytnem hasłem kultury — o wszystkich wydalaniach, rewizyach, konfiskatach, ograniczaniach wolności osobistej, zadawaniach przymusu sumienia, aresztowaniach i wyrokach, skazujących na więzienie za opór, stawiony władzy państwowej w rzeczach wiary. Ksiądz nie chciał uznać wydelegowanego przez rząd administratora dyecezyi — do więzienia z nim; inny potajemnie objeżdżał opuszczone parafie i udzielał sakramentów — do więzienia z nim; inny znów ukrywał delegata stolicy apostolskiej, administrującego dyecezyą — do więzienia z nim. Gmina nie uznaje narzuconego jej przez rząd księdza, którego legalna władza kościelna wyklęła za odstępstwo — nastręcza się sposobność do szeregu procesów: żadnego się nie zaniedba. Śmierć, pogrzeb, urodziny, chrzest, śluby małżeńskie, spowiedź, bierzmowanie, święcenie wody i te przeróżne inne wydarzenia życia codziennego związane z czynnościami duchownego stanu — wszystko to było sposobnością do zaznaczenia, że państwo toczy walkę z kościołem i z religijnymi zwyczajami ludności i, że państwo jest silne: a żadnej z tych sposobności rząd nie zaniechał.

Tytaniczna ta walka trwała lata całe, nie słabnąc. —

Arcybiskup, po dwuletniem przeszło więzieniu, odstawiony został do granicy i nazawsze wydalony z granic Prus; domniemany administrator dyecezyi, ks. kanonik Kurowski — skazany na dwa lata więzienia, ks. biskup Janiszewski wygnany nazawsze. Nie było domu, nie było rodziny, którąby bezpośrednio lub pośrednio nie była wplątana w tę walkę państwa z Kościołem i ludnością polską.

Ludność poznała, że tu chodzi o jednę z najżywotniejszych jej spraw, o podstawę bytu i stawiała opór, najgorszy ze wszystkich, bo bierny, głuchy, ale stały, uparty i powszechny. —

A wyniki tej długiej i ciężkiej walki?

Kulturkampf miał w tych warunkach znaczenie oczyszczającego ognia, który strawił wszystko, co szlachetnym nie było kruszcem: pokonał państwową ideę pruską w całej nagości jej egoizmu i brutalności, dowiódł, że z nią nieda się pogodzić żaden uczciwy program polityczny polski, stawiając przeciw państwu Kościół i duchowieństwo, ulegalizował najskrajniejszą opozycyę, nauczył bronić narodowości pod hasłem obrony wiary, usunął z porządku dziennego wewnętrzną rozterkę społeczną, usunął bowiem jej przyczyny, powołując duchowieństwo do opozycyi i tak zjednoczone, wzmocnione, solidarne, narażone wprawdzie zewsząd na ataki, ale dlatego właśnie skupione w sobie, wyprowadził społeczeństwo na bity gościniec walki o egzystencyą narodową.

Walka ta przyczyniła się niezmiernie do podniesienia świadomości politycznej wśród ludu. Rozbudzenie warstw ludowych wydać się musiało pierwszorzędnej wagi bronią przeciw rządowi i do osiągnięcia tego rozbudzenia posiłkowano się podwójnymi środkami — prasą ludową i urządzeniem wieców.

W pierwszych zaraz latach kulturkampfu datuje się niesłabnący już odtąd rozwój prasy politycznej ludowej; z tejże epoki datuje się ożywiony ruch wiecowy.

Jak pojmowano już podówczas doniosłość publicznego omawiania spraw politycznych na zgromadzeniach, dostępnych dla każdego, przekonywuje nader skrzętna praca inicyatorów tych wieców, którzy widocznie nie zaniedbywali nic, aby tylko siecią jednolitych usiłowań ogarnąć całą prowincyę i aby na wiece pociągnąć jaknajwięcej ludzi z warstw najniższych.

Jakie pobudki kierowały tym ruchem wiecowym, wyjaśnia to nam współczesna broszura polityczna „O potrzebie wieców:“

„Jeżeli ludu naszego nie przysposobim, nie nauczym go sami, jak korzystać z praw, które i jemu są przyznane, to wyższe stany polskie zobaczą się w szczupłej liczbie, zobaczą się jednostkami wobec mas niemieckich. Lud nasz politycznie jest niedołężny, zafukany. Chłop wiejski drży przed władzą w osobie komisarza, kryje się przed żandarmem. Lud nasz godności swej nie zna. Lud nasz nie wie, czy mu prawa jakie przysługują. Jeżeli się chłopy polskie do wyborów stawiają, to czynią to ze słabem tylko poczuciem, że do tego mają prawo obywatelskie; myślą raczej, że to jakiś nowy względem panów obowiązek. Po miasteczkach naszych nie wiele lepiej.“

Dzięki tym usiłowaniom wzmocnił się duch — w walce.

I zniesienie nauki języka polskiego w szkołach ludowych chybiło swego celu i odbiło się od rozbudzonej świadomości narodowej. Zamiast przygnębić — pobudziło społeczeństwo do pracy. Czego nie dał rząd, to postanowiło społeczeństwo dać sobie samo. Poczęto gorliwie prywatnie w domu uczyć dzieci polskiego czytania i pisania — a ku temu celowi służyły liczne, tanie elementarze.

Na polu oświaty ludowej niezapomniane położył zasługi ksiądz Bażyński, którego po raz trzeci już oto spotykamy w dziejach Księstwa: po raz pierwszy w konspiracyjnej epoce przed rokiem 1830, po raz drugi na polu wydawnictwa dziełek ludowych i po raz trzeci wreszcie, gdy usilna jego praca na polu oświaty ludowej znów go — już siedemdziesięcioletniego przeszło starca — wtrąca do więzienia pruskiego.

Dr. Kazimierz Rakowski.



Z blizka i z daleka.

W Zakopanem odbył się wiec śląski, głównie ze Śląska austryackiego. Wieczorem Ślązacy dali koncert, połączony z przedstawieniem amatorskiem. Odegrano „Kulturnika“, komedyę pióra Karola Miarki. W hotelu pod „Morskiem okiem“ odbył się wiec ślązki. Redaktor pan Friedel w obszernem przemówieniu przedstawił stosunki na kresach ślązkich i w zagłębiu ostrowsko-karwińskiem. Przemawiali jeszcze pp. Balicki, Szukiewicz i inni. Uchwalono zawiązać komitet, któryby się zajął zbieraniem funduszów dla obrony kresów i zwołać w sierpniu r. b. wiec ogólno polski do Dąbrowy na Ślązku. W końcu wśród hucznych oklasków wyrażono najwyższe uznanie ludowi ślązkiemu. W wiecu brał udział poseł młodoczeski, p. Ignacy Horzica.

* * *

W pięć lat po wniesieniu przez Sejm krajowy i przez Radę miasta Lwowa petycyi do rządu o utworzenie we Lwowie państwowej Akademii handlowej, została otworzona długo oczekiwana i z całą ofiarnością przez krajowe instytucye popierana Wyższa szkoła handlowa. Szkoła ta, według ministeryalnego reskryptu, jest zrównana z akademiami handlowemi tak pod względem organizacyi, zakresu i celu nauki, jak praw, co do jednorocznej służby wojskowej.

Wydane obecnie sprawozdanie Wyższej szkoły handlowej za dwa lata szkolne: 1899/1900 i 1900/1901 pozwala nam nieco rozejrzeć się w dotychczasowej pracy, ocenić jej rezultaty. Rzecz prosta, że wyrokować o wartości tej szkoły obecnie jeszcze niepodobna. Zawyrokuje o niej pierwszy zastęp uczniów, którzy jej dyplom otrzymują. Po ich uzdolnieniu, po zasobie wiedzy fachowej, jaką ze szkoły wyniosą, osądzić będzie można, czy ta instytucya rzeczywiście swe zadanie spełniła.

Z obecnego sprawozdania dowiadujemy się, że w pierwszym roku przyjęto do szkoły 40 uczniów zwyczajnych i 2 prywatystów. Przed klasyfikacyą jednak opuściło szkołę 13 uczniów.

W drugim roku szkólnym znajdujemy w klasie pierwszej 40 uczniów zwyczajnych i 8 prywatystów, w klasie drugiej zaś uczniów zwyczajnych 20. W ciągu roku szkólnego występuje znów 17 uczniów.

Czemu przypisać tak znaczną ilość występujących ze szkoły w ciągu roku uczniów — sprawozdanie nie wyjaśnia. Pochodzi to prawdopodobnie ztąd, że wiele osób nie zdaje sobie sprawy z charakteru szkoły, zakresu nauki, wstępuje do niej pod wpływem uroku nowości — rozczarowuje się zaś rychło.

Uczniowie pochodzą przeważnie ze Lwowa i z innych miejscowości Galicyi;

Sądzimy, że dobrem byłoby, aby nasi rodacy z zaboru pruskiego bardziej niż dotąd, interesowali się tą szkołą. Zarząd jej na życzenie wysyła program nauk.

* * *

Co roku prawie powtarza się fakt, że policya pruska w Westfalii wzywa do biura swego prezesów towarzystw polskich, aby ich wypytywać o sprawach towarzystw, a potem zwykle przedkłada do podpisu protokół. Zwracamy uwagę, ażeby żaden prezes, ani żaden członek nigdy żadnego pisma na policyi nie podpisywał. Zmusić policya do tego nie może, a podpisując taki protokół, którego celu prezes zwykle nie zna, mógłby narazić towarzystwo na różne przykrości. Na policyi często pytają, jaki towarzystwo ma cel, co członkowie na zebraniach robią itd. Na takie pytania najlepiej odwołać się na ustawy, bo każde towarzystwo pracuje według ustaw, które policyi wręczone być muszą przy założeniu towarzystwa.

* * *

Dnia 28 lipca b. r. odbył się **piąty zjazd Kółek śpiewu** z Westfalii i Nadrenii. Nasi przyjaciele z entuzyazmem opisują nam te piękne chwile. Zjazd odbył się staraniem dzielnego Koła śpiewu „Harfa“ w Wanne. Rodacy zebrali się na zjazd bardzo licznie.

Piętnaście Kół śpiewu ubiegało się o nagrody, wykonując już to łatwiejsze, już to trudniejsze utwory.

Nagrody otrzymały Koła: 1) (nagrodę) „Lutnia“ z Gelsenkirchen, 2) „Halka“ z Bochum, 3) „Dzwon“ z Essen, 4) „Cecylia“ z Herne, 5) „Ujejski“ z Höntropu, 6) „Harmonia“ z Wattenscheid, 7) „Sobieski“ z Herte, 8) „Fiołek“ z Bruchu, 9) „Wanda“ z Katernberg, 10) „Halka“ z Kastropu, 11) „Lutnia“ z Dortmundu. Nagrody honorowe otrzymały „Koła“: 1) „Lutnia“ z Gelsenkirchen, 2) „Harmonia“ z Wattenscheid, 3) „Dzwon“ z Essen.

Nagrody stanowiły piękne obrazy, puhary i t. d. Większość nagród podarowali różni Rodacy z Wanne i innych okolic obczyzny. Dwie nagrody — piękne wstęgi do sztandaru z odpowiednim napisem — przywiózł z Poznania od „Związku polskich Kół śpiewu“ delegat tegoż „Związku“, p. Sokołowski z Berlilina, prezes tamtejszej „Harmonii.“ Koła: „Dzwon“ z Steele, „Sokół“ z Ueckendorfu, „Fiołek“ z Rauxel i „Gwiazda Jedności“ z Osterfeldu, które także wzięły udział w śpiewie, lecz nagrody nie zdobyły, otrzymały piękne obrazy jako pamiątkę zjazdu.

Kołu śpiewu „Harfa“ w Wanne, które tyle podjęło trudów i tak piękny zjazd urządziło, wręczył p. Sokołowski jedną z nagród (wstęgę) przysłanych przez „Związek Kół śpiewackich“ z Poznania.

* * *

W tych dniach w Górnych Heidukach odbywał się wielki festyn turnerów niemieckich. Gdy liczny pochód stanął przed pomnikiem Bismarka, wykrzyknięto po trzykroć „Gut heil“, a na estradę wstąpił p. Marks, aby w gorących słowach przemówić do patryotycznego tłumu. Nawołując do miłości Vaterlandu, nie omieszkał p. M. dać wyraz swej zapalczywości do Polaków.

„*Nie zawita prędzej do Niemiec upragniony pokój, dopóki polonizm nie zostanie wytępiony*“, wołał do zebranych pod gołem niebem tłumów przemądry p. Marks. Więcej nam takich Marksów potrzeba — a rozbudzi się lud śląski!

* * *

Podobny poprzedniemu fakt, choć w innej formie widzieliśmy na *zebraniu towarzystwa robotników katolickich w Gliwicach.*

Na zebranie to przybył także poseł dr. Heisig i wypowiedział dłuższą mowę o stanowisku partyi centrowej do sprawy polskiej.

Poseł dr. Heisig oświadczył nasamprzód, że Niemcami nazywa się nie tylko rodowitych Niemców, ale i tych, którzy mówią językiem polskim. Tych ostatnich dlatego, że są obywatelami państwa niemieckiego. Tem się też tłómaczy, że czy to po niemiecku, czy po polsku mówiących G. Ślązaków nazywa się Prusakami, a nawet Niemcami.

W dalszym ciągu powołał się dr. Heisig na posła polskiego. ks. dr. Jażdżewskiego, który miał oświadczyć, że Ślązk od 1201 r., a więc akurat od 800 lat nie należy do Polski. W obec tego — tak dalej prawił dr. Heisig — dziwić się nie można, że pomiędzy rodowitymi G. Ślązakami uczucie przynależności do Prus tak dalece wzięło górę, że po dziś dzień o jakiemś przeciwnem uczuciu wcale mówić nie można. Słusznie zatem powiedział poseł konserwatywny dr. Heydebrand, że ludność górnoślązka jest nietylko wierną i lojalną, ale jest tak szczerze przywiązaną do władzy publicznej, że praca pomiędzy nią urzędnikom radość sprawiać musi.

Jeżeli bywa prowadzoną agitacya za odbudowaniem Królestwa Polskiego, to w drodze pokojowej nigdy to nastąpić nie może. Centrum takiego ruchu popierać nie może, ale musi przeciwko niemu frontem stanąć, niemniej i Górnoślązacy, którzy w roku 1870/71 walczyli za wielkość Niemiec.

To są główne myśli przemówienia posła dr. Heisiga podług „Schlesische Volksztg.“, która dodaje, że bito mu oklaski. Poseł wypowiedział swą mowę po niemiecku, usprawiedliwszy się, że nie włada językiem polskim.

Słusznie wobec tego napisał „*Dziennik Śląski*“, że Polacy na Górnym Śląsku od panów posłów i nieposłów mają prawo się domagać, żeby ich nie nazywano jakimś zwyrodniałym szczepem, który nie jest ani niemieckim, ani polskim: są bowiem krew z krwi i kość z kości Polakami, należącymi do jednego wielkiego narodu polskiego. Od partyi centrowej nie żądają, żeby agitowała za odbudowaniem Polski, tylko, żeby uznała obok ich języka ojczystego, także ich prawa narodowe, ich narodowość polską, daną im przez samego Boga, ich istnienie, ich prawo do bytu polskiego, narodowego, żeby uznała, że sprawa polska na Górnym Śląsku jest i być musi, bo żyją i pracują tu Polacy.

* * *

W Gołuchowie, w Księstwie Poznańskiem, odbył się piękny wiec parafialny, który zagaił p. Szuman z Gołuchowa.

Ks. prob. Jeżewski objąwszy przewodnictwo powołał na ławników pp. Kubaszewskiego, Szymańskiego, Michała Reina z Gołuchowa, Stasiaka z Czermínka i Dwojaka z Kajewa, — poczem udzielił głosu panu Wład. Grabskiemu z Gołuchowa.

Mówca zaznaczył przedewszystkiem prawa, które nam, jako Polakom w państwie pruskiem (obok przyrodzonego prawa bycia Polakami, najważniejszego z wszystkich) przysługują.

Po omówieniu praw, przeszedł do tego, jak te prawa wobec nas są wykonywane i prawie zawsze gwałcone. Zaznaczył dalej wszystkie krzywdy nasze, zaczynając od praw majowych, które godziły nietylko w katolików wogóle, ale specyalnie w nas, jako Polaków i starały się wyprzeć język polski ze szkoły. Podniósł, że zachowanie, wówczas przed 18 laty wykładu religii w szkołach w języku polskim zawdzięczamy jedynie gorliwości pasterskiej i poświęceniu ks. Arcybiskupa, dzisiajszego kardynała Ledóchowskiego, który wolał iść do więzienia niż dopuścić do szkoły język niemiecki, a z nim razem germanizacyą przez kościół za pomocą wykładu religii po niemiecku. — Czego rząd dawniej nie uczynił, to stara się przeprowadzić dziś, dlatego stanąć musimy wszyscy zarazem w obronie języka polskiego i religijnego wychowania dzieci.

Po p. Grabskim zabrał głos pan Maryan Szuman z Gołuchowa i powiedział, że nie chce nas szkoła niemiecka kształcić, lecz ogłupiać i wykoślawiać umysł naszych dzieci. Po rządzie i szkole nie możemy się niczego spodziewać, a jednak nie chcemy wydać języka naszego na poniewierkę, musimy więc sami i to wszyscy stanąć w jego obronie.

Dlatego zachęca mówca, aby wszyscy zebrani przystąpili do założonego na wiecu w Pleszewie Towarzystwa Samopomocy, mającego za cel szerzenie książek i elementarzy dla dziatwy w domach polskich i proponuje uchwalenie następujących rezolucyi:

„Zebrani na wiecu w Gołuchowie Polacy uchwalają zbiorowe przystąpienie do Towarzystwa Samopomocy, które się na wiecu w Pleszewie zawiązało.“

Jako trzeci zabrał głos p. Borowski Klemens z Gołuchowa. Skarżył się przedewszystkiem na stosunki szkolne, a zwłaszcza miejscowe. Przytaczał przykłady, jak przy obecnym wykładzie niemieckim trudno dziecku się czegoś nauczyć.

Przewodniczący ks. proboszcz Jeżewski, podziękowawszy wszystkim mówcom za ich przemówienia, zreasumował raz jeszcze wszystkie nasze krzywdy, prawa i postulaty, a zachęciwszy gorąco zebranych do przystąpienia do Towarzystwa Samopomocy, zamknął wiec.

Z okazyi tego wieca *parafialnego* przypominamy, że w Inowrocławiu dotychczas nie odbył się wiec. Oj śpiące i leniwe Kujawy! *Z.*





Urzędowy „Reichsanzeiger“ i półurzędowa „Nordd. Allg. Ztg.“ podają

wreszcie projekt do nowej taryfy celnej. Nadmienić należy, że projektu tego nie rozpatrywała dotąd Rada Związkowa. Projekt będzie musiał pójść zatem pod obrady Rady związkowej, która może go zmienić, lub niezmienić, a następnie przedłożony zostanie parlamentowi niemieckiemu pod obrady. Ponieważ cła są ważną rzeczą i wszystkich obchodzić muszą, dlatego poniżej podajemy taryfę celną na najważniejsze artykuły. Cła na niektóre artykuły zostaną znacznie podwyższone. Nadmieniamy, że pierwsza cyfra oznacza cło nowe, druga stare, trzecia cło obniżone na mocy umowy międzynarodowej.

Oznaczenie towaru.	Cło nowe.	Cło dotychczasowe.	Cło dotychczasowe obniżone na mocy umowy międzynarodowej.
	Mk	Mk.	Mk.
Żyto	6,00	5,00	3,50
Pszenica	6,50	5,00	3,50
Jęczmień	4,00	2,25	2,00
Owies	6,00	4,00	2,80
Słód z jęczmienia	6,25	4,00	3,60
Drzewo „Quebracho“	wolne	wolne	wolne
Konie w wartości od		za sztukę	
300 do 2500 mk.	30—300	20,00	—
Bydło:		za sztukę	
Stadniki i krowy	25,00	9,00	9,00
Jałowizna	15,00	6,00	5,00
Cielęta	4,00	3,00	3,00
Świnie	10,00	6,00	5,00
Smalec wieprzowy	12,50	10,00	—
Masło	30,00	20,00	16,00
Ser	30,00	20,00	15 do 20
Jaja	6,00	3,00	2,00
Olej rzepakowy	12,00	9,00	—
Olej lniany	6,00	4,00	—
Margaryna	30,00	20,00	16,00
Ser margarynowy	30,00	20,00	20,00
Soda surowa i krystalizowana	0,90	1,50	1,50
Soda oczyszczona	1,50	2,50	2,50
Surowe towary stolarskie, tokarskie i wozowe, ramy do okien, drzwi, schody	10,00	3,00	3,00
Papier do drukowania, pisania, kartonowy, liniowany, bibuła	10,00	10,00	6,00
Żelazo surowe	1,00	1,00	1,00
Maszyny parowe, motory, pompy itd.	od 3,50 do 100	od 2,50 do 8,00	
Aparaty elektryczne	60,00	rozmaicie,	
Koła	150,00	rozmaicie, lecz po części 24 m.	
Zabawki dla dzieci wszelkiego gatunku	10,00	rozmaicie.	

Znaczne podwyższenie ceł ma być także naznaczone na bydło i mięso. Podczas gdy dotąd cło na konie naznaczano od ich wieku, ma odtąd cło wynosić za sztukę od 30 do 300,00 m., im koń ładniejszy i droższy, tem też większe będzie cło. W roku 1900 przywieziono do Niemiec razem 111,336 koni i źrebiąt. Odtąd każda sztuka ma podlegać cłu co najmniej 30,00 m., a najwyżej 300,00 m. Na stadniki i krowy ma cło wynosić blisko trzy razy tyle, co dotąd do tego czasu wynosi 9,00 m., a póżniej ma wynosić 25,00 m. W roku 1900 przytransportowano do Niemiec 70,683 krów, 6158 stadników, 64,947 wołów, 58,484 jałowizny do $2^1/_2$ lat i 14,137 cieląt niżej 6 tygodni. Dotąd od jednego wołu wynosiło cło 25,50 m. Podług nowej taryfy celnej ma cło od wołu za podwójny centnar żywej wagi wynosić 12,00 m. To jest znaczne podwyższenie dotychczasowego cła.

I przy świniach wynosiło dotąd cło za sztukę 5 m. Odtąd za centnar żywej wagi ma wynosić 10 m. I to jest znacznem podwyższeniem I cła na mięso i okrasę mają wynosić o 100 i przeszło 100 procent więcej, aniżeli dotąd. Cło na masło, ser, margarynę, ser margarynowy ma być również z 20 na 30 m., a więc o 50 procent podwyższone. Cło na jaja ma być podwyższone z 3 na 6 marek, co znaczy, że będzie jeszcze raz tak wielkie, co dotąd. Cło na skórę ma być o 100 procent podwyższone. Cło na koła ulegnie także znacznemu podwyższeniu.

Jak dotąd pozostaną wolne od cła następujące artykuły: świeże kartofle, świeże jabłka, gruszki, ale tylko wtedy, jeżeli będą niezapakowane lub w workach, w innem opakowaniu mają podlegać cłu w wysokości 6 marek; dalej wolne od cła pozostaną kamienie do brukowania, kwas siarczany, mąka z kości, tomasówka, superfosfaty, surowa miedź, świeże buraki cukrowe i pastewne.

Znacznemu podwyższeniu cła mają podlegać gęsi. Od jednej sztuki ma cło wynosić 0,70 m. W roku 1900 przywieziono do Niemiec 6 milionów 220,055 gęsi. I kury oraz inny drób był dotąd wolny od cła. Podług nowego projektu cło od nich ma wynosić 6 m. za centnar podwójny. W roku 1900 przywieziono do Niemiec 96,155 podwójnych centnarów żywych kur i 24,389 podwójnych centnarów innego drobiu. Cło na karpie w wysokości 15 marek ma być świeżo zaprowadzone. Znacznemu podwyższeniu cła ma podlegać smalec. Dotąd wynosiło 10 m., odtąd ma wynosić 12,50 m. W roku 1900 przywieziono do Niemiec samego smalcu wieprzowego milion 16,956 podwójnych centnarów.

Cło na mąkę ma być z 10,50 na 13,50 m. podwyższone, na mąkę owsianą 16 m. W roku 1900 przywieziono 336,730 podwójnych centnarów mąki pszennej, 16,321 podwójnych centnarów mąki żytniej i 16,838 podwójnych centnarów z innych gatunków zboża Na ocet w beczkach ma być cło podwyższone z 8 na 10 marek, na makaron z 13,80 na 20 marek.

* * *

Cesarzowa niemiecka Fryderykowa, wdowa po zmarłym w roku 1888-ym cesarzu Fryderyku III, a córka zmarłej na początku tego roku królowej angielskiej Wiktoryi, zmarła dnia 5-go b. m. nad wieczorem po długiej i ciężkiej chorobie na zamku swoim Friedrichshof pod Homburgiem w 60-tym roku życia.

Sympatyczne wspomnienie dla polskiej ludności budzi postać zmarłej cesarzowej Fryderykowej, która w 1888 roku, gdy ciężka powódź nawiedziła miasto nasze, opuściła ciężko już wtenczas chorego małżonka, by w jego zastępstwie przekonać się osobiście o rozmiarach klęski u nas. Ludność polska, najwięcej dotknięta powodzią, serdecznie i z wdzięcznością przyjęła dostojną panią, rokując sobie z przyjazdu cesarzowej do stolicy Wielkopolski zapowiedź lepszej doli.

Cesarzowa Fryderykowa zgasła w 13 lat po swym małżonku, którego ukochała sercem całem i z którym pożycie obfitowało w radości, ale i w cierpienia. Nie było to małżeństwo, podyktowane przez względy dyplomatyczne, lecz związek dusz, pociągniętych ku sobie nawzajem zobopólnemi zaletami. Nie poskąpiło i jej życie wielu cierpień, zwłaszcza wtenczas, gdy obok śmiertelnej choroby ukochanego męża intryga dyplomacyi i dworu nie oszczędziła jej zmartwień. Po śmierci cesarza Fryderyka nie zdjęła już cesarzowa nigdy szaty żałobnej i nie wzięła udziału w żadnej uroczystości publicznej, prócz ślubu swych córek.

K. O.



Przegląd prasy.

„Dziennik Kujawski,“ którego wyborne artykuły w sprawie stosunku Polaków do centrum niejednokrotnie mieliśmy sposobność z uznaniem podnosić, pisze w następujący sposób o znamiennej decyzyi Polaków nad Renem, aby się wstrzymać od głosowania na ściślejszych wyborach:

„Stało się, co było do przewidzenia. Centrum obraziwszy się na Polaków za to, że śmieli stawić własnego kandydata przy wyborach, nie wyciągnęło do nich ręki, zwłaszcza dlatego, że przy ściślejszych wyborach nie oni będą rozstrzygać, lecz socyaliści. Wobec tego komitet wyborczy polski na zebraniu w zeszłą niedzielę uznał, że nieproszony nie może narzucać centrowcom swej pomocy i dlatego polecił wyborcom, aby się wstrzymali od głosowania.

„Pomiędzy centrowcami zatem a Polakami zapanowały stosunki więcej niż oziębłe, lecz nie mamy wcale powodu rozpaczać z tej przyczyny. Sumienie mamy czyste wobec centrum, służyliśmy im aż nadto długo w zupełnej pokorze, lecz gdy centrowcy nie starają się zadosyćuczynić słusznym postulatom, uważając niejako, że Polacy są na to tylko, by głosować na kandydatów centrowych i — „Maul halten“, a w dodatku dążą

do zgermanizowania ludu polskiego — musiało urwać się ucho dzbana. Na przełom ten zanosiło się od dawna; nie jest on fenomenem, ale naturalnym wynikiem stanu rzeczy. Z jednej strony lekceważenie, bezwzględność i germanizatorskie zakusy, z drugiej zaś wzrastająca samowiedza i samodzielność dojrzewającego ludu musiały sprowadzić zerwanie węzłów, które łączyły Polaków za czasów Windhorsta ściśle z niemiecką partyą katolicką. Spadkobiercy tego wielkiego polityka zeszli wobec nas z drogi przez niego wytkniętej; i na nich oddziałał szowinistyczny duch germanizacyjny i dzisiaj mamy tego owoce. Z tej przyczyny wybory w Duisburgu są ważnym momentem w dziejach rozwoju Wielkopolan.

„Z zupełnym spokojem patrzymy w przyszłość, oburzenie centrowców nie przeraża nas wcale, jedynie odejmuje Polakom iluzyę, jaką mógł jeszcze pieścić się ten i ów, licząc na centrowców, wierząc w ich bezinteresowność i szlachetniejsze motywy. Tym Polakom sprawiło centrum bolesny zawód, ale krzywdy nam nie wyrządza.

„Komitet wyborczy polski postąpił sobie konsekwentnie, z godnością, jaka cechowała jego kroki w ciągu całej tej sprawy wyborczej. Wobec lekceważenia centrowców był on ponownie wystawiony na ogniową próbę, lecz nie zachwiał się, nie ofiarował swych głosów centrowcowi — pozostał wiernym sobie, pozostał komitetem wyborczym katolików polskich. Jakoż „Wiarus Polski“ i my wszyscy możemy dzisiaj ponownie wołać: „cześć mu!“

Gdy tak ożywiona się toczy dyskusya na łamach pism polskich w stosunku Polaków do Centrum, w samą porę trafia się nader interesująca i znamienna publikacya, która zdziera z polityki kościelno-pruskiej wobec Polaków całą maskę obłudy i złej woli. Jest to oskarżenie publiczne rzucone w twarz purpuratowi kolońskiemu, Arcybiskupowi Dr. Simarowi, za jego stanowisko wobec Polaków. Oskarżenie to o dążności germanizacyjne, o uprawianie polityki prusofilskiej przez kościół na naszych wychodźcach, jest tem cięższe, że wyszło z pod pióra kapłana, który bezpośrednio z tem wychodźtwem miał styczność.

A mianowicie ks. Liss zdecydował się opisać publicznie rozmowę, jaką miał z dzisiajszym Arcybiskupem kolońskim, a ówczesnym biskupem padernborskim, podczas swego pobytu na obczyźnie.

Podajemy treść tej rozmowy za „**Wiarusem Polskim**“ z małemi skróceniami:

„Zawołał mnie sługa, wszedłem do ks. Biskupa i taka była między nami rozprawa (Cytuję z pamięci, więc być może, że jedno po drugiem zupełnie nie tak następowało, lecz referuję tylko objektywną prawdę):

Ja: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Ks. Bisk.: „Na wieki wieków. Amen. Czego tu ksiądz chcesz?“

Ja (stojąc przy drzwiach): „Przyszedłem do Waszej Biskupiej Mości rozmówić się w sprawie „Wiarusa Polskiego“.

Ks. Bisk.: „Ksiądz dawno wiesz, co masz czynić. Powiedziałem księdzu to już w Bochum“.

Ja: „Przepraszam, w Bochum nic mi ks. Biskup nie rozkazał, pytał mnie się tylko, czym założył polską gazetę, a gdym odpowiedział, żem dwie założył, polityczną i religijną, Wasza Biskupia Mość zauważyła, że może byłoby lepiej tylko założyć religijną. Odpowiedziałem, że to jest rzeczą niemożliwą, bo religijna sama się nie utrzyma, Wasza B. Mość nic na to nie odpowiedziała.“

Ks. Bisk.: „No, to siadaj ksiądz.“

Ja: Usiadłem i milczałem.

Ks. Bisk.: „Cóż ksiądz chcesz z tą polityczną gazetą? Jeżeli mi tu ksiądz tę gazetę zostawisz, to wytworzą się tu stusunki, jak na wschodzie. A zkądże ja mam wziąć tyle księży polskich? Ksiądz za to przed Bogiem nie odpowiesz!“

Ja: „Uważam, że odpowiem, bo nie ja tu Polaków sprowadziłem. Obecne stosunki zresztą i bez gazety tak długo tu pozostaną te same, dopóki potrwa napływ i odpływ Polaków. Zresztą dziećmi polskiemi wcale się nie zajmuję, bo nie mam czasu na to, te się więc germanizują, a starzy jak urośli, takimi zapewne do śmierci pozostaną. Księży zaś tymczasem trzech wystarczy na dyecezyę paderbornską w Bochum, Gelsenkirchen i Dortmund. Niech się tylko kilku kleryków nauczy po polsku, wszak my Polacy wszyscy po niemiecku się uczymy.

Ks. Bisk.: „Dzięki Bogu, że mi ksiądz powiadasz, że przynajmniej drugie i trzecie pokolenie się zniemczy, lecz gazeta polska jest tu zbyteczna i proszę ją skasować.“

Ja: „Wiem dlaczego, bo tak p. Studt sobie życzy.“

Ks. Bisk.: „I ja chcę mieć swój spokój.“

Ja: „Gdyby Apostołowie tak sobie powiedzieli, to zapewnie dziś bylibyśmy jeszcze poganami... Pojąć nie mogę, dlaczego mam „Wiarusa“ skasować, pismo tak pożyteczne, które ma wszelkie warunki bytu“.

Ks. Bisk.: „Bo piszesz ksiądz takie artykuły podburzające“.

Ja: „Zauważam, że założenie drukarni kosztuje mnie 12,550 marek. Mam jeszcze 5,000 marek długu. Kto ten dług pokryje?“

Ks. Bisk.: „Jeżeli ksiądz chcesz, to wszystko możesz(!)“...

(Wróciwszy z Paderbornu do Bochum opowiadał ks. dr. Liss, że ks. biskup powiedział do niego wprost: *„Jako mąż niemiecki powinienbyś się ksiądz starać, aby Polacy się jaknajprędzej zniemczyli.* — To przypomnienie ułatwi zrozumienie następnych słów ks. biskupa Simara. Red.)

Ja: „Nie rozumiem i pojąć nie mogę, dlaczego mam moich Rodaków gwałtem germanizować i nie wiem jak to mam uczynić.“

Ks. Bisk.: „Bo Polacy są *„ganz verkommenes Volk“* i czem prędzej się zgermanizują, tem lepiej dla nich“.

Ja: „Czy Polacy są zupełnie upadłym narodem, tego Wasza Biskupia Mość wiedzieć nie może, bo musiałby stułę założyć na szyję i słuchać Polaków spowiedzi. Ja zaś jeżdżąc z miejsca na miejsce mam z Polakami i Niemcami do czynienia. Jestem zresztą zanadto wzburzony, abym mógł osądzić spokojnie, czy mam „Wiarusa“ skasować, czy nie. Racz więc Wasza Biskupia Mość pozwolić, że pojadę do Bochum i spokojnie sobie wszystko rozważę, a co i jak zrobię, napiszę do Paderbornu. Zresztą zaraz oświadczam, że Bochum chcę wkrótce opuścić i proszę mnie zwolnić od mego obowiązku.“

Ks. Bisk.: „Przecież ksiądz nie rzucisz *„Flinte ins Korn“* i nie uciekniesz“.

Ja: „Nie. Pozostanę na stanowisku tak długo, aż przyjdzie następca.“

Ks. Bisk.: „Ja nic nie mam zresztą przeciwko księdzu. Dziękuję serdecznie za pomoc i gorliwość w duszpasterstwie, lecz *polityka księdza woale mi się nie podoba.*“

Pożegnałem się i wyszedłem z pałacu. Oczy mi zabiegły krwią i łzami. Obróciłem się na ulicy i patrząc na pałac biskupi, rzekłem: „Tu już więcej moja stopa nie postanie. Teraz rozumiem, dlaczego to św. Metody był przez niemieckiego Biskupa 3 lata więziony.“ —

Powyższa rozmowa żadnych komentarzy nie potrzebuje. Postawmy obok tych wynurzeń Arcybiskupa kolońskiego wynurzenia wodza centrowców, hr. Ballestrema (który radził „Polaków bić po pyskach“), lub którego z posłów centrowców (np. Faltina lub Heisiga, według których niema polskiego ludu, lecz tylko lud **pruski**, wierny tronowi i katolicki), a będziemy mieli obraz duchowego oblicza naszych „przyjaciół“ centrowych. — Niema co już o tem teraz się rozpisywać wielce, powtarzamy, bo fakty same nieubłaganą swą logiką przyczyniają się do wyświetlenia sytuacyi politycznej.

Jak wiadomo, jednem z najulubieńszych miejsc kuracyjnych polskich staje się obecnie Zakopane. Jest to jeden z tych zakątków górskich, w których przechowały się w architekturze i rzeźbie oryginalne motywy góralskie. Dzięki zajęciu się sprawą artystycznego wyzyskania tych motywów, którym groziłaby zaguba wobec coraz rosnącej frekwencyi kuracyuszów w Zakopanem, dziś już można mówić o „stylu zakopiańskim“. Zasługi około tego stylu położył znany p. Witkiewicz. Aby czytelników w krótkości z tym stylem zapoznać, damy niebawem podobizny pięknych stylowych sprzęcików wykonanych przez rzeźbiarza p. Brzegę z Paryża, który specyalnie dla „Pracy“ fotografie ich nadesłał, obecnie zaś podajemy interesujący artykuł **„Kuryera Warszawskiego“** o stylu zakopiańskim:

„Charakterystycznem jest dla naszych stosunków, że pierwsi zwrócili uwagę na budownictwo i zdobnictwo ludowe nie budowniczowie, lecz artysta-malarz Stanisław Witkiewicz, następnie chirurg ś. p. dr. Matlakowski i artystka-malarka p. Butowt. Witkiewicz, jako umysł nawskroś niezależny, oryginalny i krytyczny, znalazł piękno w budownictwie i zdobnictwie ludowem i pracą swoją postawił je w krótkim czasie na tej wysokiej stopie rozwoju, na jakiej się obecnie znajduje. Każda część chaty góralskiej posiada swoją osobną nazwę polską, bez przymieszki nazw niemieckich, szeroko u nas rozpowszechnionych. Ornament góralski coraz inny, a coraz piękniejszy w rozmaitych zestawieniach i kombinacyach powtarza się na każdym kroku, okrywa nietylko części budowy, ale każdy sprzęt, każde naczynie góralskie, które już same przez się mają

dziwnie estetyczny i harmonijny kształt, jak: półki, czerpaki, łyżki, stoły, stołki, skrzynie: zdobi również ten ornament i ubiór górala, pasy i spinki, a nawet sery są wyciskane w formach stylowych.

„Dorobek Witkiewicza pod tym względem jest stosunkowo duży: w ciągu ośmiu lat wykonano podług jego wskazówek trzydzieści domów mieszkalnych, oprócz wielu ołtarzy w kościołach i kaplicach i mebli, zrobionych pod jego kierownictwem.

„Zamówienia na meble zakopańskie, pomimo ogromnego cła, coraz bardziej wzrastają, tak że szkoła miejscowa nie może podołać robocie. Niedawno zwrócił się do Witkiewicza pewien Duńczyk, prosząc o projekt willi w stylu zakopańskim, którą ma zamiar budować w Vogelsang w Saskiej Szwajcaryi. W słynnej fabryce porcelany w Sèvres zastósowano również modele naczyń, robionych w stylu góralskim z napisem *style polonais*. Ten nowy a tak pożądany zwrot do motywów naszych widzimy również w szybkim rozwoju szkoły garncarskiej w Kołomyi, której wyroby o charakterystycznych a wytwornych kształtach są tak obecnie poszukiwane, że Niemcy w Znaimie założyli specyalną fabrykę, podrabiającą naczynia kołomyjskie. *B. M.*



Specyalna korespondencya „Pracy."

Berlin, 30 lipca 1901.

(Wiec w sprawie polskiej nauki przygotowawczej do sakramentów śś. pokuty i ołtarza. Przygotowanie wspólnej akcyi; niezależnie od tego pobudzanie rodzin polskich do działania stanowczego na własną rękę. Głosy matek Polek. Opozycya przeciwko wysyłaniu pieniędzy do ks. ks. Salezyanów! — Ś. p. ksiądz Würtz.)

W niedzielę odbył się tutaj, zwołany przez komitet polityczny, wiec w sprawie nauki przygotowawczej do pierwszej spowiedzi i komunii św. Chodzi o to, by rodzice polscy w każdej parafii domagali się polskiej nauki dla swych dzieci, pomni, że ich wola rozstrzyga, w jakim języku dziecko ma być przygotowane. Księża niemieccy dobrowolnie polskich kursów nie urządzą; szczególnie w obecnej dobie, gdy z góry coraz większy, jak wiadomo, wywierają nacisk na duchowieństwo, ażeby polski język jak najmniej uwzględniało, nie ma po temu nadziei. Ale gdy polski rodzic stanowczo zażąda polskiej nauki przygotowawczej, a nie ustąpi, życzeniu jego i najzagorzalszy patryota niemiecki zadość uczynić musi.

Wszyscy mówcy wiecowi, około 10-ciu, starali się w ten sposób rzecz przedstawić zebranym ojcom i matkom polskim: jako Polacy mamy obowiązek dbać o to, by dzieci polską pobierały naukę, jako katolicy powinniśmy również starać się o to, bo wychowanie moralne młodzieży ułatwione, gdy młodzież uczy się w języku ojczystym religii. Możność zaś przeprowadzenia żądań naszych posiadamy w każdym razie, skoro żądaniom stanowczą nadamy formę. Niektórzy mówcy przytaczali pouczające przykłady, jak wytrwałość w tym względzie prowadzi do upragnionego celu.

Przemawiały też, ażeby nie brak było głosu matek Polek, dwie panie: Molska i Dworkowska; obie mówiły zwięźle a trafnie. Jedna z nich na dowód, że nauka niemiecka przygotowawcza dla dzieci polskich ma mniejsze pod względem moralnego kształcenia, a nieraz wprost szkodliwe znaczenie, przytoczyła fakt znamienny: pewien ksiądz uczennicom swym przed pierwszą komunią św. zalecał, by zapomniały o wszelkich znajomościach światowych, o „kawalerach", myśląc już odtąd jedynie o Bogu, itd. Takich to rzeczy polskie dziewczęta 14-letnie, wychowywane tak, iż zupełnie zbyteczne dla nich podobne pouczenia, słuchać muszą na *niemieckich* lekcyach, ze względu na to, iż Niemkom widać ksiądz prawić tak musi!

Jedna z mówczyń i przedstawiciel towarzystwa poczdamskiego, zwracali uwagę na to, że niepotrzebnie lud polski wysyła corocznie kilkadziesiąt tysięcy do zakładów Salezyanów za granicę; za pieniądze te, jak zauważył słusznie mówca z Poczdamu, mogłoby się co rok wykształcić kilku księży Polaków dla obczyzny.

Przemawiało też dwóch socyalistów, pragnąc przy tej sposobności upiec dla siebie pieczenie, ale im się to nie udało. Dano im trafną odprawę; drugi z nich wogóle nie mógł swych teoryi wygłosić, bo rozpoczął przemówienie zaczepką na ks. Arcybiskupa Stablewskiego, mówiąc, że ten to polski Arcybiskup i „szlachcic" „dał pieczęć" pod katechizmy niemieckie! Przewodniczący wieca, p. Wróbel, odebrał mówcy głos, ażeby z powstających pomruków niezadowolenia nie wyrodził się większy niepokój, dający policyi prawo do rozwiązania wieca. Pouczono zaś mówcę, że dla Niemców katolików potrzebne przecież katechizmy niemieckie, a nam Polakom chodzi tylko o zapewnianie sobie praw, nie zaś o uszczuplanie ich Niemcom, gdzie są w mniejszości. Niefortunne występowanie socyalistów nie zdołało zamącić wieca, którego przebieg był poważny i zupełnie celowi odpowiedni.

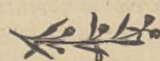
Cel wieca, nakłonienie polskich rodziców, ażeby domagali się wszędzie nauki polskiej dla dzieci mających przystępować do Sakramentów św., uwidocznić się musi na jesień; nie wątpię, że liczba rodzin żądających w każdej parafii swego prawa, wzmoże się znacznie. Na wiecu zbierano podpisy od rodziców, pragnących polskiej nauki przygotowawczej; zbierać je będą dalej po towarzystwach.

Osobna delegacya, którą wybrano na wiecu, składająca się z panów Berkana, Wróbla i Engla, udać się ma do delegata biskupiego, ks. prałata Neubera, i przedstawić mu życzenie Polaków wraz ze spisem rodzin polskich powyżej wzmiankowanych. Bez względu na to, jaki skutek będzie miała ta prośba, każda rodzina polska, której dzieci mają przystępować do pierwszej komunii św., na własną rękę praw swych domagać się powinna. Że coraz częściej się to dziać będzie, do tego wiec niedzielny bądź co bądź w znacznej mierze się przyczyni.

Obecnych było na wiecu przeszło czterysta osób. Tegoż popołudnia odbywał się wiec polsko-katolicki w Weissensee, i tamże zabawa ludowa na rzecz „Oświaty."

W zeszłym tygodniu oddaliśmy tu ostatnią posługę śp. księdzu Al. Würtzowi, proboszczowi pozasłużbowemu, zamieszkującemu od kilkunastu lat w Berlinie. Niebożczyk, zanim choroba w ostatnich paru latach nie pozwoliła mu wychodzić z domu, pracował jako duchowny przy kościele św. Piusa, gdzie jako Polak wielce był pomocnym ks. Frankowi przy pracy duszpasterskiej około parafian polskich.

Poza pracą w kościele ks. W. bardzo czynnie zajmował się kilku towarzystwami polsko-katolickiemi na wschodzie Berlina; wielkie zasługi położył około podniesienia śpiewu polskiego w kościele św. Piusa, a pracy jego Tow. śpiewu kościelnego im. św. Cecylii zawdzięcza rozwój i rozkwit. Towarzystwo to złożyło swemu dobroczyńcy piękny wieniec z napisem polskim na grobie; inny wieniec również z napisem, złożyło Tow. Polek Obywatelek. Pogrzeb był iście polski; po kilku niemieckich słowach dłuższa przemowa polska, pieśni polskie i t. d., a całe urządzenie pogrzebu jak u nas w kraju. Zebrało się na pogrzebie przeszło 200 osób. Niebożczyk pozostawia w sercach wszystkich, co go znali, bądź to z stosunków osobistych, bądź to z działalności w towarzystwie, niezatarte, wdzięczne wspomnienie. Jako ksiądz Polak zasłużył się około kolonii berlińskiej, gdzie tak bardzo brak kapłanów polskich, w bardzo wysokim stopniu; jako człowiek umiał sobie jednać szczerem, prawdziwie polskiem obejściem każdego rodaka. Cześć pamięci kapłana i obywatela pożytecznego! *J. K.*



Głosy od Przyjaciół.

Gniezno, dnia 4-go sierpnia.

Kochana „Praco!"

W ostatnim numerze piszesz, Szan. Redaktorze, w artykule pierwszym pod

tytułem: „Patrzmy w serca ludzi“, — jakobyśmy rodzice nie wiedzieli, jak sobie postąpić z niemiecką nauką religii w szkole. — My dobrze wiemy, jak sobie postąpić. My rodzice mamy prawo Bozkie i obowiązek wychować dzieci w wierze naszej i w naszej narodowości. A że przed Bogiem my za to wychowanie dzieci dźwigamy odpowiedzialność, więc nikt nam nie może zakazać, abyśmy obowiązek ten nasz spełnili.

Mój starszy chłopiec, dziesięcioletni, choć się rozmówić po niemiecku wyraźnie nie umie, to jednak wyuczone w szkole na pamięć kawałki tak szybko trzepie, że aż ucho za nim podążyć nie może. Rozumieć to on tam wiele z tego nie rozumie. Ale ja się Niemcom wcale nie dziwię, że zaprowadzili naukę po niemiecku, kiedy słyszą, jak dzieci szybko jak papugi trajkocą, — a osądzić nie mogą, czy dzieci to, co mówią, rozumieją.

Raz słyszę, jak dzieci na podwórzu się gonią i coraz to który uderzy drugiego i zawoła do tego: „Galopp Jezus Chrystus.“ — Mój chłopiec naturalnie na przedzie. — Zawołałem go zaraz i powiedziałem, że to grzech przedrwiwać modlitwę w obcym języku, i że „Gelobt sei J. Chr.“ to także niemiecka modlitwa. — I aby się to drugi raz nie powtórzyło, zakazałem mu inaczej Pana Boga chwalić jak po polsku: czy w szkole, czy w kościele, czy na ulicy, czy gdzie. — Takie mam prawo jako ojciec, i ciekawym, czy mi kto przeszkodzi w tem, abym dzieci w bogobojności wychowywał. — I taki jest teraz mój sposób. — Po niemiecku się dziecku religii uczyć nie pozwolę, kiedy z tego tylko obraza Bozka powstaje, jak z tem: „Galopp Jezus Chrystus.“ — Książek mu żadnych niemieckich do religii nie kupię. — A jak tak w szkole troszkę mu skórę podrapią, — to zanadto jednak go nie wytłuką, bo przecież jest „Körperverletzung.“ Wasz

J. K.

* * *

Baukau, (Westfalia).

Kochana „Praco!“

Ośmielam się napisać słów kilka o Polakach zamieszkałych w Baukau. Mieszka tu wiele Polaków i niektórzy należą też do polskich towarzystw, a mamy ich tu aż trzy, ale nie rozwijają się tak jakby się spodziewać powinno. Większa część Polaków albo wcale nie należy do żadnych tow., albo jest w niemieckich Vereinach. Pisma polskie tylko trochę światlejsi trzymają. I dlaczego rodacy tak od polskich tow. stronią, to Wam zaraz chcę wytłómaczyć. Byłoby bardzo pożądanem, żeby sobie z pomiędzy swoich członków wybrać po dwóch lub trzech i żeby były jakie patryotyczne odczyty, a do tego bardzo się nadaje „Praca.“ Bo jest takich dość nawet członków w towarzystwie co wcale polskich pism nie mają. A pisma polskie to mało który Polak abonuje, lecz każe sobie nosić polakożercze blaty, chociaż do nich wcale nie zajrzy, bo żeby rzucił okiem, to zaraz na początku by wiedział, że za swoje ciężko zapracowane pieniądze kupuje bicz na własną skórę. Jeżeli Bracia czujecie się dobrymi Polakami, więc nie bójcie się ani komisarza, ani widoku policyanta, tylko pracujcie dla Ojczyzny! Słyszeliście jak to w Poznaniu zakazanem jest żołnierzom kupować od kupca Polaka, to my im powinni te krzywdy wynagrodzić i to w bardzo łatwy sposób. Niech sobie każdy z nas rodaków zapisze „Pracę“, albo inne polskie pismo, które są o wiele tańsze jak niemieckie blaty, a jest nas tu tyle Polaków i będzie każdy trzymał chociaż jednę polską gazetę, to polskie dziennikarstwo będzie mogło lepiej kwitnąć jak dotąd i będzie mogło śmielej stawić czoło hakacie. Pokażmy Bracia, że chociaż nie posiadamy siły zbrojnej, to poradzimy sobie z hakatą i pokażemy, że żyjemy, żyć chcemy, i żyć będziemy!

A ktoby chciał sobie tu w Baukau „Pracę“ zapisać, to proszę się do mnie udać, a ja mu ją do domu odniosę, a kto „Pracę“ czytał, to choćby hakatyści do swych trzech głosek jeszcze trzy dołożyli, to go nie zjedzą.

Michał Wojciekiewicz.

* * *

Misburg pod Hanowerem.

Kochana „Praco!“

Tow. św. Wojciecha obchodziło dnia 12 maja b. r. 7-mą rocznicę swego istnienia w sali p. Oppenborna. Rodaków i rodaczek zebrało się tyle, że sala zapełniona była po brzegi. Najprzód przewodniczący p. Szydłowski powitał gości i opowiedział doniosły cel Tow. polskich na obczyźnie, które są jakoby drogowskazem tej naszej pielgrzymki w tej obcej krainie. Przez Tow. tu na obczyźnie niejeden Polak ocalał od zguby, nie mówiąc tylko o narodowości ale i o wierze.

Potem odśpiewano pieśń „Witaj Królowa“, przyczem był przedstawiony żywy obraz, następnie wzniesiono toast na cześć Ojca św. Leona XIII. Potem odegrano teatr amatorski. Sztuka udała się bardzo dobrze, to też amatorom nie szczędzono oklasków. Odwiedzili nas też członkowie z tow. św. Wojciecha w Brunświku.

Zabawa trwała do samego rana w największym spokoju i porządku.

Jeden z obecnych.



Wniebowzięcie,

Cichuteńko! — Aniołowie
Pod Baranka boską wodzą
Z wyżyn nieba zwolna schodzą:
Twarze błogie, szczęście w mowie.

Tam na ziemi, na ustroniu,
W skalnej grocie śpi Dziewica:
Czarem płoną śliczne lica —
Aniołkowie naprzód gonią!...

Wstało słońce i promienie
Nad spokojem świata mieści, —
Gdzie nic więcej nie szeleści
Nad Baranka otoczenie.

Niema błogość się rozlewa
W najcudniejszym tym zakątku;
Orszak Niebian już w porządku:
Pieśń Miłości wkoło śpiewa.

Pieśń.

(Solo) Powstań, kochana!
Czekam na Ciebie;
Czeka przybrana
Stolica w Niebie.

*

(Chór) Od miodu słodsza,
Niepokalana,
Powstań, jedyna!
Powstań, kochana!...

*

(Solo) Już tron gotowy!
Wszechświat w spragnieniu
Żąda Królowej: —
A tyś w uśpieniu!...

*

(Chór) Od miodu słodsza,
Niepokalana,
Powstań, jedyna!
Powstań, kochana!...

*

(Solo) Dwór Twój ozdobny
W rajskie piękności,
Stoi — podobny
Stwórcy wielkości.

*

(Chór) Od miodu słodsza,
Niepokalana,
Powstań, jedyna!
Powstań, kochana!...

— „Matko!“ — puka do zacisza
Jezus drogiej Rodzicielki:
Śpiew ustaje i szmer wszelki: —
Roztwiera się ziemi nisza!...
— „Cudo! Kto to śród nas staje!...“
Orszak wszystek spoczął w dziwie —
„Nie stworzeniem być się zdaje...
„Patrzy na nas — piękna — tkliwa...“
— „Synu!“ — „Matko!“ — Już wzbudzona
Matka Boga w Barankowych
Jest objęciach... — Prócz słów owych
Nic nie rzekła żadna strona.
Wystarczyły im dwa słowa; —
Świat się wzrusza w swem jestestwie,
Wdzięczna postać ziemi nowa:
Bóg się czuli przy nicestwie!...
Spadł z Baranka płaszcz królewski
Na Dziewicę powstającą —
Z twarzą więcej jaśniejącą,
Jak światłości blask niebieski.
Wraz Anioły zachwycone
Szykują się do pochodu, —
Wiją z istot swych koronę,
Sięgającą aż do Wschodu.
Co w przestworzach żyje czyste,
Kogo w Górze wzrok spoczywa:
W serce tego się przelewa
Potok chwały wiekuistej.
Ruszył orszak. Tryumfalne
Brzmią w powietrzu dźwięczne piena:
Prędko w Niebo się przemienia
Okolenie groty skalne.
Już wsłuchiwać się potrzeba:
Już szum tylko z dźwięcznej fali
Spływa, — brak go! — już są dalej...
Weszli wszyscy już do Nieba.

Raz ostatni oświeciła
Jeszcze światy Boska chwała: —
Kruciutenko i — ustała...
Ziemia dawną znowu była.
Słońce przedtem jak w przyćmieniu,
Gdy Dziewica wyszła z groty, —
Puszcza teraz strumień złoty —
Ku wygnańca pocieszeniu...

— Tam Ojczyzna! — tu w tęsknocie
Czas wiecznieje w smutek syna! —
Gdzie mój Ojciec? Gdzie ma Matka?—
Ich nie widzę... W krwawym pocie
Serce żalem się zacina...
—W Wniebowziętej szukaj świadka:—
Tam Syn będzie, gdzie jest Matka.

Maryan Maitler — Winnicki.





Częstochowa.

Od najdawniejszych czasów uwielbiamy na cudownych miejscach Najświętszą Boga-Rodzicę w obrazach ku Jej czci przeznaczonych. Jest więc niemało wizerunków Przeczystej Panienki, ale Ona jedna tylko, króluje w wysokich niebiosach, a jako wyszła z łona rodzaju ludzkiego, opiekuje się ludźmi na ziemi. I otóż dlatego, chcąc być blisko swej dziatwy, wybiera i lubuje sobie niektóre miejsca między nami, i nad temi miejscami unosi się jej srebrzysta postać, błogosławiąc. Są też te miejsca cudowne, i łask różnych doznają ludzie, gdy w pokorze ducha i z modlitwą na ustach odprawią pielgrzymkę do takich miejsc świętych.

Na naszej ziemi kochanej, najsłynniejszem miejscem cudownem jest Częstochowa, z klasztorem na Jasnej Górze, gdzie u stóp obrazu Matki Boskiej tysiącznych łask dostąpili pobożni pielgrzymi.

Jasna Góra panuje nad rozległemi równinami, i ztąd oddawna już Jasną się nazywa, bo rozkoszny i jasny dla oka widok odkrywa się tu z wierzchołka. Po wschodniej stronie góry leży miasto Częstochowa, a zwą je *Starą Częstochową*, dlatego żeby ją odróżnić od drugiej osady, tuż ku południu położonej, którą *Nową Częstochową* albo *Częstochówką* nazywają.

Idąc do klasztoru, na wierzchu góry zbudowanego, znajdujesz najprzód u podnóża kaplicę i kościołek po *Marjawitkach*; oprócz tego jest jeszcze poniżej klasztoru kościół św. Barbary. Idąc dalej stroną południową, przychodzisz nareszcie do okazałych bram i do wielkiego kościoła z przysionkiem i oto stoisz przed świątynią, kędy króluje Matka Boża, a kraju gorliwa Opiekunka. Ugnij tu kolana i dotknij głową prochu, i ukorz się w duchu przed majestatem tej dziewic Królowej, a potem wznieś oczy i z trwożliwą nieśmiałością oglądaj świetne Jej mieszkanie.

Klasztor Jasnogórski składa się z głównego kościoła z przysionkiem, tudzież z kaplicy świętego Pawła, pierwszego pustelnika, i z drugiej kaplicy świętych Stróżów Aniołów. Była tu oprócz tego okazała wieża na 160 łokci wysoka, która się spaliła dnia 15 sierpnia r. z. Naokoło tych gmachów są różne pomniejsze budowy i pomieszkania, także różne szczęty murów i przekopów, któremi dawniej klasztor był broniony; trzeba bowiem wiedzieć, że Jasna Góra stanowiła dawniej dość warowną i niezdobytą fortecę, i dopiero przed 50-ciu laty zwalono przekopy zburzonych wojnami warowni, a wyprzątnąwszy gruz, obwiedziono tylko krawędziami niewielkie mury.

Chcąc wejść do środka klasztoru, trzeba przechodzić przez trzy bramy. Pierwsza brama jest cała z ciosowego kamienia, a nad nią na murze malowany obraz Matki Boskiej, nad którym się unosi święty Michał z mieczem z kamienia rzeźbiony, a obok niego inni dwaj Święci Pańscy: Paweł, pustelnik i Antoni opat. W spodzie napis: „Pod Twoją obronę“. Przeszedłszy potem małe podwórze i most, wchodzi się do głębokiej drugiej bramy, nad którą w górze umieszczono popiersie króla polskiego Stanisława Augusta, z białego marmuru pięknie wyrzeźbione. Ztąd dopiero bramą płaską dochodzisz do ostatniej głęboko sklepionej, nad którą jest wymalowany wizerunek fundatora, trzymającego na dłoni kościół Częstochowski, a pod nim herb Królestwa.

Przeszedłszy te bramy, wchodzisz na obszerniejszy dziedziniec, zkąd wziąwszy się na lewo zajdziesz dopiero do kościelnego przysionka pod wielką wieżą, który jest sam niby małym kościołem. Tu przy wchodzie jest kaplica św. Antoniego z Padwy za żelazną kratą, kędy sobie pielgrzymie nieco wytchnąć możesz, a wytchnąwszy wchodzisz wreszcie wysokiemi drzwiami po kilku stopniach kamiennych, i wnet odkrywa ci się całe wnętrze wspaniałej świątyni. Na 112 łokci długi, na 30 łokci szeroki, a na 50 od posadzki do sklepienia wysoki ten przybytek Pański, uderza swoją powagą i korzy do ziemi swą majestatyczną wielkością.

Wchodząc do świątyni zostajesz zdjęty podziwem, a pokora i uszanowanie rzuca cię na kolana, żebyś uczcił Wszechmocego w mieszkaniu Jego; lecz słyszysz jakąś słodką grę na organach, a niewiedzieć zkąd płynącą i widzisz spieszących w poboczne drzwi pielgrzymów, a więc sam się podnosisz i idziesz za nimi i stajesz dopiero w prawdziwej kaplicy, gdzie jest cudowny obraz Matki Chrystusowej. Tu padaj na kolana i zmiataj czołem proch z kamiennej posadzki, a oddając pokłon Orędowniczce naszej, mów w zachwyceniu twej duszy:

O jakże świecisz chwały błyskawicą,
Szczepie królewski, córko Dawidowa!
Mieszkasz wziesiona Maryo Dziewico,
Nad niebios chóry, jako ich królowa!

W ołtarzu, z drogiego czarnego drzewa, umieszczony jest cudowny obraz w ramy złote oprawny. Bieleje się on wkoło od srebrnych aniołów i bogatych wotów ze srebra wyrobionych. Po bokach ołtarza są dwa duże lustra w złoconych ramach; u sklepienia wiszą mniejsze i większe lampy srebrne, których jest ośm; obiedwie ściany — są drogą, czerwoną w złote kwiaty materyą obite, a nad niemi wizerunki królów polskich i dobroczyńców tego świętego miejsca, na blachach srebrnych pięknie malowane.

Codzień rano, równo z zaczęciem mszy cichej i z śpiewaniem godzinek o Niepokalanem Poczęciu, odkrywa się cudowny obraz oczom pielgrzymów; aliści jak tylko dwunasta godzina uderzy, odzywają się trąby i kotły i blacha srebrna, misternie wyrobiona, zasłania go. Po południu, jeszcze raz, a to w czasie nieszporów, odkryty bywa cudowny wizerunek Matki Boskiej.

Ten cudowny obraz ma swoje osobne podanie historyczne.

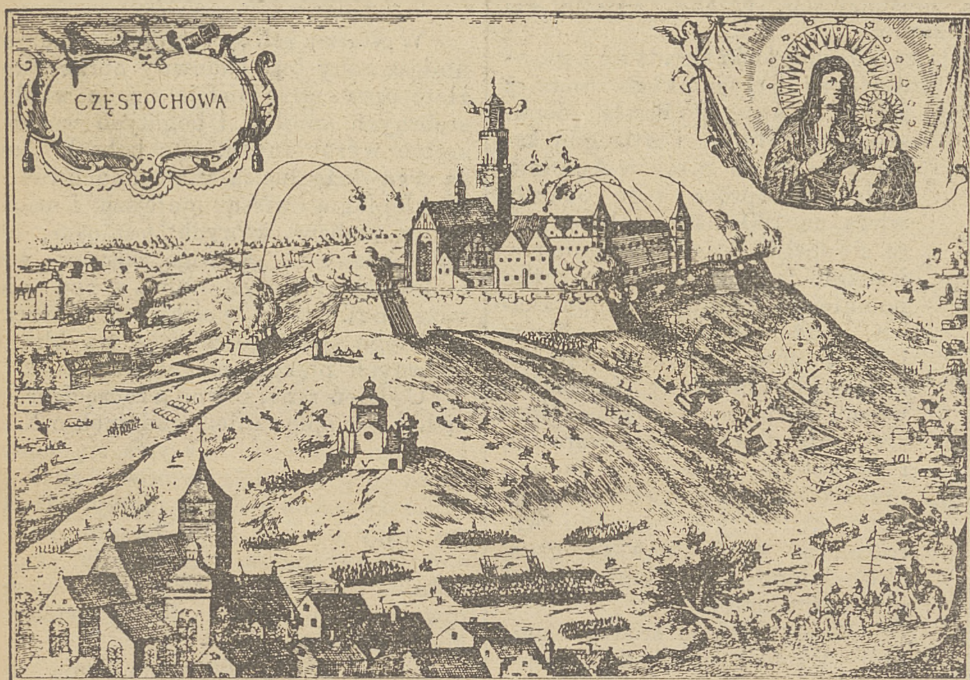
W miasteczku Nazarecie, gdzie się Pan Jezus narodził, był stół z cyprysowego drzewa, przez św. Józefa dla Maryi Panienki wystrugany. Owóż po śmierci Zbawiciela, wymalował na tym stole św. Łukasz ewangielista prawdziwy wizerunek Matki Bożej, która jeszcze podówczas, wielce strapiona śmiercią Syna jedynego, żyła w Jerozolimie. Po wniebowzięciu Przeczystej Panienki, został w jej mieszkaniu, w domu świętego Jana, obraz przez Łukasza ewangelistę malowany i tam też przechowywali go starannie pierwsi chrześcijanie.

Dziwne koleje przechodziło odtąd owo malowidło. Było ono u Greków w Carogrodzie, stało się potem własnością jednego cesarza niemieckiego, potem księżęcia, później złożono je w zamku Bełzkim na Czerwonej Rusi, gdzie blizko przez 580 lat w dobrem zachowaniu zostawało. Razu pewnego, w czasie oblężenia zamku Bełzkiego przez Tatarów, trafiło się, iż strzała tatarska przez okno do kaplicy wpadłszy, w szyi Matki Bożej ugrzęzła i od tego to czasu została blizna w tem miejscu. Inny książe ze Śląska, odebrawszy później Bełz, zabrał ztamtąd obraz Matki Boskiej i zostawił go na Jasnej Górze, odkąd tam już ciągle przebywa. Królowie i królowe zaczynają od tej pory klasztorem i obrazem się opiekować. Mnóstwo bogactw i świetności przybywa tu powoli, choć

i nieszczęścia grożą jeszcze obrazowi. Owóż z końcem panowania Jagiełły, wpadają Czechowie do Częstochowy, zabijają pięciu zakonników, rabują klasztor, biorąc wszystkie ozdoby z obrazu. Przy tej sposobności zostały dwie szramy na twarzy Matki Przenajświętszej w obrazie, które na każdym wierzytelnym wizerunku zobaczyć można.*) Później zaś, gdy cały kraj prawie był najechany, stawiała Częstochowa mężny opór Szwedom i innym nieprzyjaciołom.

Lecz wróćmy napowrót do świątyni.

Bardzo wspaniałą i świetną jest sama nawa kościoła. Różne tam są malowidła i rzeźby po ścianach i po sklepieniu. a podziw niemały wzbudza wielki ołtarz ze samych posągów o człowieczej wielkości ustawiony, które oświeca do połowy światło dzienne przez okno z góry wpadające. Oprócz tego wielkiego, znajduje się tu jeszcze dwadzieścia innych ołtarzy, także piękna ambona i chór ogromny z niezmiernemi organami. Na lewo, idąc od wielkiego ołtarza, wchodzi się po kilku schodach do dolnej kaplicy, świętych relikwij, dlatego tak nazwanej, bo dużo świętości tu w niej umieszczono. Z przeciwnej strony jest kaplica górna, o dwa stopnie wyżej leżąca, a ta poświęcona Jezusowi Nazareńskiemu, z pięknym ołtarzem dla niego wystawionym. Jest też tu i drugi ołtarz św. Aniołów Stróżów, a w nim prześliczny obraz. Ta kaplica jest najwidniejszą ze wszystkich, bo światło padając z góry kopułą, oświeca ją całą. Więc tu się odbywają nabożeństwa bractw, przy kościele Jasnogórskim ustanowionych.



Wygląd wieży na Jasnej Górze przed pierwszym pożarem w 1654 r. (Ze współczesnej ryciny.)

Jest po tej stronie kościoła także i drugie przybudowanie z ciosowego kamienia wystawione, a to jest kaplica św. Pawłowi pustelnikowi poświęcona. Kaplica ta, wewnątrz czarnym marmurem wykładana, mieści w sobie trzy ołtarze: główny ołtarz św. Pawła, kędy jest wizerunek jego w sukience z czystego srebra; po bokach zaś są ołtarze św. Antoniego opata i św. Hieronima. Cała ta kaplica jest piękną żelazną kratą zamknięta, a stoją w niej zwykle wszystkie chorągwie i klasztorne obrazy do noszenia przy procesyi, jako też i pyszny baldachim.

Między kościołem a kaplicą N. P. Maryi jest jeszcze przybudowana zakrystya, obszerna i widna, a pięknemi obrazami ozdobiona. Tutaj przyjmują zakonnicy ofiary na msze św., tutaj też poświęcają szkaplerze, koronki i sprzedają jarzące świece.

Jako więc z tego widać, nie mało jest miejsca w Jasnogórskim klasztorze. Niemałe też tam odprawiają się odpusty, na każde święto Przeczystej Panny i na Zielone Świątki. Ludzi schodzi się jak mrowia z różnych stron, i okolic i każdy zanosi tam swoje westchnienia i prośby do cudownego obrazu. Największe odpusty odbywają się corocznie na 8 września, to jest w dzień Narodzenia Najświętszej Panny, a w rocznicę koronacyi cudownego obrazu Jasnogórskiego. Bywają lata, w których zgromadza się do sto tysięcy ludu w Częstochowie. Śpiewają wtedy różne ślicznie pieśni, i bywają piękne kazania, co aż do głębi serca przejmują, bo do cnót chrześcijańskich i miłości braterskiej nawołują zgromadzony lud księża.

Koronacya cudownego obrazu odbywała się w dzień Narodzenia Panny Maryi 1717 roku. Z niesłychaną świetnością i okazałością obchodził klasztor Jasnogórski ten obrzęd uroczysty. Zgromadzonych pielgrzymów takie niezmierne było mnóstwo, że wielu ludzi nie mogło się nawet do pierwszych bram klasztoru docisnąć, a niby wielkie wojsko otaczały nieprzeliczone gromady Jasną Górę w około. Dla wygody tylu nabożnych pielgrzymów wystawiono za wałami klasztoru obszerną szopę, kędy zakonnicy mszę świętą odprawiali i słuchali spowiedzi. W sto lat potem, to jest w roku 1817, odbył się także na Jasnej Górze wielki odpust i jubileusz. Przez ośm dni odprawiały się wtedy uroczyste nabożeństwa. Ludzi było podówczas przeszło sto dwadzieścia tysięcy. W rozlicznych pieśniach wychwalali oni tam najświętsze Imię Maryi, dziękując tej Bożej Rodzicielce za dotychczasową opiekę, a prosząc Ją gorąco o dalsze orędownictwo u Wszechmocnego Pana.

Któżby policzył, ile modlitw, ile pieśni, ile westchnień uleciało tam z tego miejsca do wysokiego nieba? Wielkie jest miłosierdzie Boże, ono nam upaść w grzechach dotychczas nie dało, to ono nas i nadal ratować będzie, jeno zanośmy do niego modły i głębokie i serdeczne.

Obok cudownego obrazu i licznych świętości kościelnych, są w klasztorze Jasnogórskim jeszcze inne kosztowności i drogocenne pamiątki z dawnych czasów. Kto więc po spowiedzi świętej i nabożeństwach odpustowych może się jeszcze zatrzymać, niemałą ma pociechę w oglądaniu skarbców klasztoru.

Więc po ukończeniu nieszporów na wielkim kościele, idziesz z sługami kościelnymi oglądać klejnoty i pamiątki w skarbcach złożone. Skarbców tych jest dwa: jeden mały, drugi wielki. W małym skarbcu przechowują się same naczynia święte i relikwijarze, przy największych uroczystościach i nabożeństwach używane. Jest tam ogromna monstrancya ze szczerego złota 22 funty ważąca, a w niej wielka ilość drogich kamieni i pereł. Używają tej monstrancyi podczas czterdziesto-godzinnego nabożeństwa, w czasie processyi na Boże Ciało i na dzień Narodzenia Najświętszej Panny. Oprócz tej, jest tam jeszcze i druga monstrancya, mniejszej wartości. Dalej zobaczysz trzy kielichy bardzo kosztowne i piękne, jeden relikwiarz srebrny z kostką św. Kaźmierza, figurę Niepokalanego Poczęcia Panny Maryi z bursztynu pięknie wyrzeźbioną. Są to po największej części pobożne dary królów polskich, a jeden krzyżyk, w środku z odrobiną krzyża Pańskiego, jest nawet własnoręcznej roboty króla Zygmunta I.

Z tego skarbca małego są drzwi na prawo, a tu wschodami przechodzi się do skarbca wielkiego, który jest nad zakrystją zbudowany. W tym skarbcu są jeszcze większe kosztowności. Tu jest sukienka Matki Boskiej, zwana brylantową, bo złotem, brylantami i innemi drogiemi kamieniami na zielonym aksamicie obłożona. Oprócz tej są jeszcze inne dwie sukienki: jedna rubinowa na fijałkowym aksamicie, druga perłowa, bo perłami, a gdzieniegdzie drogiemi kamieniami na karmazynowem tle wyhaftowana. Obie bardzo drogie i piękne. Jest tu dalej wiele ornatów i pięknych aparatów kościelnych, a między niemi, ornat z lamy złotej i perłami, przez królową Jadwigę, żonę króla polskiego Jagiełły, własnoręcznie szyty i haftowany. Wszystkie ornaty i kapy są podarunkami królów i panów polskich, niemniej jak jeszcze jedna monstrancya, kryształowa z drogiemi kamieniami, tutaj ustawiona, którą król polski Michał, w czasie ślubu swego w Częstochowie, klasztorowi darował. Znajdziesz tu dalej bardzo wiele podarunków króla Jana Sobieskiego, z kosztowności na Turkach pod Wiedniem zdobytych, a między te-

*) Patrz illustracyą albumową. — Przyp. Redakcyi.



Kościół i klasztor księży Paulinów na Jasnej Górze w Częstochowie przed pożarem w r. 1900.

mi darami zegar wyzłacany, dwie tace srebrne, lampa wielka i inne. Nie zliczyłbyś ile tam jeszcze różnych klejnotów i pięknych kosztowności: miecze, krzyże, buławy, a wszystkie albo pamiątki po sławnych królach i wojownikach polskich, albo rzeczy przez nich samych dla klasztoru fundowane.

Dużo by trzeba miejsca, gdybyśmy tu chcieli po krótce wyliczyć wszystkie bogactwa, a dalej pamiątki i szczególności Jasnogórskiego klasztoru. Powiemy tylko, że oprócz dwóch skarbców jest tam jeszcze sala, bardzo widna i miła, a samemi pięknemi obrazami ozdobiona; że jest na piętrze znowu inna wielka i piękna sala o wyniosłych oknach z sklepieniem malowanem, a w niej szafy wysokie, księgami zapełnione; jest dalej wielki refektarz, czyli sala jadalna o siedmiu oknach, pamiętna tem, że się w niej odbywały gody weselne króla polskiego Michała; jest dalej w osobnym gmachu drukarnia na drukowanie nabożnych i świeckich ksiąg przeznaczona; jest w osobnej budowli zbrojownia, ale dziś już żadnej zbroi w niej niema, jest wreszcie osobna apteka, do klasztoru Jasnogórskiego należąca. Jeżeli sobie teraz do tych wszystkich gmachów klasztornych dodasz liczne dziedzińce i ogrody, magazyny, kuźnię, stajnie, mieszkania dla świeckich osób w klasztorze potrzebnych i tym podobne, to zrozumiesz łatwo, że klasztor Jasnogórski wygląda jak gdyby jakie miasteczko wałami obwiedzione.

Nie małej to ulgi i nie jednej łaski musieli zasmuceni i utrapieni doznawać od Bożej Rodzicielki na tem cudownem miejscu, skoro tyloma darami, tyloma klejnotami i bogactwami odwdzięczali się klasztorowi i braciom zakonnym. Jakoż nie mało dobroci okazywała tu zawsze ta Pani niebieska; wiele opieki macierzyńskiej rozciągała Ona zawsze nad tymi, którzy się do Niej uciekali, za co niech będzie Jej chwała po wieki wieków.

*　　*　　*

W dniu Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny (15-go b. m.) przypada rocznica pożaru wieży na Jasnej Górze.

Składki na odbudowanie wieży płyną ze wszystkich stron obficie. Powstanie ona z gruzów z pewnością, równie wielka, jak przed stuleciami, zwiastująca zdaleka jak latarnia rozbitkowi „gwiazdę morza.“

Powstanie z gruzów, odbudowana i wzmocniona, bo niedarmo wypisano nad głównym portykiem Jasnogórskiej świątyni:

Domum Tuam, Domine, decet sanctitudo.

O. D.



Żniwa.

Stanęli żeńcy w szereg długi
I dzwonią sierpy, ni to dzwony,
I płyną z czoła potu strugi
I kładą się na ziemi plony.

Stanęli żeńcy ramię w ramię
I nucą razem pieśń radosną,
Bo kłos się pod ciężarem łamie,
Snać dobrą była siejba z wiosną.

Czy to my stoim tak gromadą,
Tak ramię przy ramieniu blisko?
Czy to się dla nas teraz kładą
Tak złote kłosy na ściernisko?

Czy to my dzielni ci żniwiarze,
Którym opłacą się mozoły,
Kiedy już zniosą gospodarze
Obfite zbiory do stodoły?...

I my się trudzim w czoła pocie
I my się nie lękamy pracy
I nasi żeńcy przy robocie,
Jako za Piasta, są jednacy...

Tylko, że ziemia z krwi i bolu
Stężała i ma twardość skały —
Do ziarna zmieszał wróg kąkolu,
A kłosy wróble wydziobały.

Tylko — gdzie oni, gdzie sąsiady,
Tam jasne niebo i pogoda,
A nam wciąż biją ziarno grady,
A nam zalewa plony woda.

A nam szarańcza ścina kłosy,
Albo je spalą żary słońca,
A u nas łzy są zamiast rosy
I tak bez kresu i bez końca!

Kazet.



Dział kobiecy.



Egipcyanka.



Egipcyanka.

Fryzury kobiet w starożytności.

Natura, chcąc głowę człowieka ochronić przed szkodliwymi wpływami zmiennego powietrza, przyozdobiła ją bujnym włosem, a równocześnie nadała człowiekowi obowiązek pielęgnowania tego daru. Mężczyźni, przystrzygując włos krótko przy głowie, nie mają z pielęgnowaniem wielkiego zachodu, podczas gdy kobiety wiele czasu poświęcić muszą, by fryzurę zgrabnie ułożyć na głowie.

Już w starożytności panowały pod tym względem pewne przepisy mody, jak to wynika z rycin naszych, które przedstawiają popiersia kobiet egipskich, greckich, rzymskich i byzantyjskich. Fryzury na tych rycinach przypominają swym kształtem sposób układania włosów kobiet nowoczesnych, skutkiem czego powiedzieć można, że nic nowego pod słońcem. *S. Wcz.*



Greczynka.



Greczynka.

Kobiety w Chinach.

Chińczycy odosobnili się owym sławnym „murem chińskim" od reszty świata i sami z siebie stworzyli kulturę, którą za wyższą uważają od europejskiej. — Wskutek tego odosobnienia damy chińskie nie mogły się zapoznać z modą paryzką i strój ich różni się też pod każdym względem od strojów elegantek europejskich. Noszą one spodnie szerokie, podobne do tureckich, na to przywdziewają kaftan długi z szerokiemi rękawami, a do nóżek, krępowanych od młodości w sposób nienaturalny, przyczepiają chodaki drewniane, przez co chód ich staje się podobnym do gęsiego. Nasze damy jednakże pozazdrościć im mogą materyj, z których szyte są ich szaty, bo tylko jedwab najdroższy, przeszywany złotem, bywa do tego użyty. W jednem tylko nie różnią się damy chińskie od europejskich, a mianowicie w używaniu pudru i blanszu, w którego użyciu są niedoścignionemi. Jak tu, tak i tam w dalekich Chinach panuje wśród kobiet zwyczaj poprawiania natury celem przypodobania się mężczyznom.



Rzymianka.



Rzymianka.



Nasza rycina przedstawia damę chińską, przechadzającą się po ulicach Pekinu. *S. Wcz.*



Byzancyanka.



Byzancyanka.

RODZINA-DOM.

Jadwiga z Ż. S.

(Ciąg dalszy patrz nr. 24-y.)

Drudzy — niosąc *pracę* konieczną, nie widzą w niej nic więcej, jak środek zarobku — jako handel, jako targowisko straszne sprzedanego czasu i trudu, za tyle a tyle grosza — jęczą, narzekają, złorzeczą, wloką ją jako łańcuch niewolniczy za sobą i radziby go zrzucić z bark swoich jak najprędzej, byle tylko walka o byt nie kazała im pracować.

Tacy pracownicy z słońca robią kaganiec, z ideału czynią kałużę błotną — z posłannictwa — tworzą nikczemną sprzedaż!

Wśród ludzi tych, którzy mają postawiony obowiązek pracy nie dla bytu, ale dla zużytkowania życia są znów dwa działy.

Jedni — którzy zupełnie do tego obowiązku się nie poczuli lub go bardzo lekko pojęli i drudzy — którzy zaprzęgli się do ciężkiego mozołu, trwają w nim zacnie — nie widząc siebie, nie myśląc o sobie — lecz zapatrzeni w tę dal przyszłości, która po nich przyjdzie i plony przyniesie.

Zachodzi teraz pytanie — kórzy są godniejsi czci, uznania i szacunku. Czy ci, którzy do mozołu i trudu codziennej pracy dla bytu — dobierają wielkie brzemiona pracy dla idei, czy ci — którzy nie znając troski o byt — przecież robią za wielu!

Kto da odpowiedź?

Sądzimy, że łatwa ona będzie do odgadnienia.

Jeżeli *Bias* rzekł, iż: „*Dobrym* i silnym jest ten, który *może* być *złym*, a nim *być nie chce* — *złym* zaś i słabym jest ten, kto *może być dobrym*, a nim *nie jest*“ — to my powiemy, iż szlachetnym i zacnym jest ten, kto może mniej robić, a próżnować nie chce, zaś lichą plewą ten, kto może oddać pracy narodowej wiele czasu, a daje wszystko lenistwu na pożarcie.

Są rodziny — domy — w których zaiste dziecko, nietylko, iż do pracy nie nawyknie, jej nie ukocha, ani nawet nie pozna, ale co gorsze, co sromotniejsze, iż uczy się nawet temi gardzić i pomiatać, którzy muszą pracować. Nie do uwierzenia, by jeszcze tyle ciemnoty mogło być w tym czasie, w przełomie wieku chlubiącego się nazwą wieku wiedzy i odkryć naukowych — a przecież tak jest.

Przez szyby wagonu I-szej klasy patrzą często młode oczy z obrzydzeniem i lekceważeniem na potem zlane czoła robotników usypujących drogę żwirem, na pochylone trudem barki, dające chleb codzienny milionom ust.

Z pojazdów mknących szybko ulicami miasta — patrzą młode oczy lekceważąco na zastęp ludzi wychodzących z biura po kilku godzinach mozolnej pracy, ludzi, którzy przecież swoim trudem tyle dla bezpieczeństwa, dla zdrowia, dla wiedzy, dla piękna i pożytku tych robią, którzy pracy nie znają.

Kastowe wychowanie — to najwyższy stopień ciemnoty i upadku. U nas kasty są i — nie rychło zda się będą zatarte. U nas jeszcze ciągle dzieli się ludzi nie wedle ich cnoty — charakteru, nie wedle wyższości w zasadach lub czynach, ale wedle tego, co jest w pularesie lub banku, wedle tego jak i czem kto pracuje...

Jeśli ów pan pracuje w ten sposób, iż rękoma linią po papierze obraca, kreśli grafionem linijki, lub piórem pisze parę godzin — jeszcze to wcale nie znaczy, aby on stał o wiele wyżej od drugiego pana, który szyje igłą, kuje młotem, lub heblem gładzi deski.

Jeżeli technik, pracownik, filozof, do swej pracy potrzebował więcej nauki i wykształcenia niż murarz — szewc, cieśla, to jeszcze wcale nie tworzy kasty moralnej, duchowej, obywatelskiej. Ten stanął wyżej w wiedzy, ów niżej, ale jeszcze nie ma dowodu, kto lepiej wypełnił swój obowiązek, kto wedle miary posiadanych talentów i oświaty zdobytej, sprawiedliwiej i sumienniej oddał Ojczyźnie to, co w pracy i życiu oddać był powinien.

W pojęciach o pracy — jest u nas istny labirynt, chaos zupełny. Pracy się wstydzą, pracy się boją, jednę pracę uważają za lepszą, drugą za gorszą, jedna zdaje się poniżeniem, druga zaszczytem.

A jednak!... praca jest obowiązkiem i częścią życia!... Sromem i hańbą jest lenistwo i bezczynność. Zaszczytem i sławą jest sumienne wykonanie przyjętych na siebie obowiązków.

Która praca lepsza, a która gorsza?

Ta, która więcej wymaga zaparcia się, poświęcenia, która mniej kwiatów i sławy niesie, która nie strzela w niebo wieżą dla wszystkich wiedzą, ale się kryje w ciszy — ustroniu — — a serce uszlachetnia, a ducha podnosi — ta lepsza — świętsza — zupełna!...

Zdarza się często, iż w rodzinach straszą dzieci widmem pracy, jak owym kominiarzem biednym, który stał się tradycyonalnym poskromicielem płaczu u dzieci.

— Jak nie będziesz się uczyć — mówią w domu — zostaniesz szewcem!...

— Jak nie będziesz się zachowywać odpowiednio, będziesz jak chłop — powiadają inni.

— Nie masz majątku, musisz się uczyć, abyś mógł zapracować na stanowisko odpowiednie.

I tak w wychowaniu — kładą pracę jako *zarobek*, poniżenie, jako odtrącenie od sfer wyższych — błękitniejszych... a czy to w skutkach nie jest okropne?...

Czy widmo rzemieślnika pracującego cicho — mozolnie, poczciwie, ma być grozą jaką i jakimś obrazem tak strasznym, iż w obec niego nie ma już nic gorszego?

Czemuż nie powiedzą paniczowi — gdy nie będziesz się uczył — będziesz leniwym, pasożytem, będziesz człowiekiem nie wypełniającym posłannictwa swego, będziesz kamieniem ciężkim na barkach ludzi innych? Czemuż nie mówią dziecku, iż gdy nie przyjmie na siebie trudu pracy, będzie zerem i z życia jego żadnej korzyści nie będzie?

Czumuż nie mówią w rodzinie, iż jeśli trzeba przysposabiać się do pracy, jako środka dającego byt — nie można kłaść bytu jako celu, ale ideał pracy trzeba widzieć jako powinność w obec Ojczyzny i Boga, który powiedział:

— Módl się i pracuj!...

Rodzina może i powinna zaszczepiać zamiłowanie do pracy, a zarazem dawać przykłady, jak każdą pracę należy szanować, a lenistwo i próżniactwo deptać.

Cześć i hołd dłoni spracowanej, czołu potem zlanemu — barkom pochylonym od trudu, a srom i poniżenie tym ramionom, które w życia drodze nie udźwignęły ani jednego ciężaru, które nie wypleniły jednego chwastu — nie wzięły pracy jako berła, lecz ją odtrąciły z wzgardą i pychą...

Praca — światło życia — bez niego noc i smutek — pustynia i nicość — bez niego nic.

„Przyjdzie czas, gdy błyszczące imiona pogniją,
„Z *cichych* ziarn wywite, który świat okryją.

Mickiewicz.

„Głośniej niźli w rozmowach, Bóg przemawia *w ciszy,*
„I kto *w sercu ucichnie,* zaraz Go usłyszy...

Mickiewicz.

„Duszę miej ukojoną,
„Jak cichy — pełny zdrój —
„By w tobie niebios łono
„Odbiło obraz swój.

Konopnicka.

„W wychowaniu, jak przy wysiadaniu
Piskląt, potrzeba ciszy i ciepła“!...

Harniski.

Cisza!...

Potężne słowo, a tak mało rozumiane i cenione.

Cisza!...

Słowo to działa jak tajemna sprężyna, która w jednej chwili zda się wstrzymuje wszelkie ruchy, gwary i wrzawy, która kładzie palec na ustach miotających skargi lub przekleństwa, która przerywa dziki szum wichrów lub straszne gromów jęki.

Cisza!...

W przyrodzie, w pracy, w trudzie życia ludzkiego, w łzach i bolu — w szczęściu i marzeniu — czem ona jest?

Dla dusz wyższych, dusz rozbudzonych życiem myśli potężnych, dusz karmionych pragnieniami o niebo bijącemi — dla serc zapełnionych wielką miłością idei — serc płonących ogniem zapału i poświęcenia — cisza jest skarbem i pragnieniem, ku któremu tysiące, ręce swe wyciąga.

Dla ludzi pustych, bezmyślnych — żyjących sobą i dla siebie — cisza — jest nudą i straszną marą.

A w życiu domowem — rodzinnem — cisza i idący z nią w parze spokój, są podwaliną szczęścia prawdziwego tak, iż bez nich szczęścia nigdy w domu i wychowaniu rodziny nie będzie.

Jak w przyrodzie, dzień pogodny i cichy jest miły dla każdego, tak w życiu domowem cisza — łagodność i spokój, są prawdziwymi skarbami i darami nieba, albo dusz wysoko wyrobionych. Niema zaś smutniejszych i uboższych moralnie domów, jak te, w których wiecznie gwar — szum — wir, a burz i gromów bez końca.

Jak dom, jak cztery ściany i dach, jest ochroną przeciw wichrom, deszczom i mrozom, tak i w znaczeniu duchowem ma być ochroną przeciw burzom, wichrom i szumom fałszywych zasad, haseł wstecznych — upadków moralnych i wszelkiego zła.

Jeśli tam, kędyś w świecie, w drodze trudu, mozołu, walk i usiłowań często nadmiernych, prawie ciągle kaleczy się serce, duch łamie, miłość stygnie, jeśli wichry głuszą ciche tony marzeń i snów srebrzystych, jeśli bezustannie biją dzwony nawołujące do pospiechu — liczące czas upłyniony — przypominające, iż śmierć rwie i chłonie coraz inne ofiary — to w domu, wśród rodziny — ma być na to wszystko cisza lekiem, balsamem — podporą i umocnieniem.

Ach! gdyby nie to pragnienie ciszy życia domowego — iluż by to ludzi szło samotnie?

Cisza domowego życia jest najpiękniejszą ozdobą rodziny, jest najdroższym klejnotem.

Ona też daje miarę wartości moralnej tych, którzy rodzinę i dom tworzą.

I znów jak w zaklętem kole obracając się, powtarzamy: nie zależy owa cnota i piękność ciszy domowego życia ani od wiedzy, ani od bogactwa osób dom tworzących, ale zależy od cnót i zasad moralnych, które umieją wszelkie namiętności, gniewy, uniesienia poskromić i zniweczyć.

Tak samo w najuboższej lepiance włościanina, nieumiejącego podpisać swego imienia, może zamieszkać *cisza* pogodna, jak i w pałacu możnego, a wykształconego bogacza. Lecz również tak samo może być wieczna klątwa, wrzawa, niezgoda i hałas iście piekielny w chacie ludzi ciemnych, jak i nikczemne zawiście, intrygi, burze srogie, wichry najniższych namiętności mogą huczeć w salonach ludzi przebogatych i wiele wiedzy posiadających.

Niema uprzywilejowanych stanów, ani warstw, ani klas, na cnotę, zacność i prawość. Niema domów i rodzin wybranych na życie ciche, pogodne, spokojne, lub na burze, gromy i pioruny.

Są domy i rodziny, które istotnie dadzą się porównać do wiecznie pogodnych dni pełnych ciepła, ciszy i spokoju Tam jak w promieniach światła i ciepła kiełkują i najtrudniejsze w hodowli nasionka, tam rozwijają się i najtrudniejsze do rozkwitu kwiaty.

Lecz są domy podobne do owych chłodnych, ciemnych dni jesieni, gdzie wszystko opada, blednie, gaśnie, a nic nie budzi się ku życiu nowemu, gdzie mróz i chłód ścina każdą myśl serdeczniejszą, każde uczucie żywsze, wszystko wedle jednej miary, jednego szablonu — ani pół centymetra wyżej, ani pół centymetra szerzej.

Są wreszcie domy i takie, które są prawdziwą plątaniną pogody marcowej. Raz słońce blaskiem oczy razi — drugi raz śnieg oczy mrozi i zasłania — znów deszcz z wiatrem w szyby bije, to gorąco pali.

W jednych domach wieczne gniewy i swary, od rana do nocy — o co? O byle co — o drobnostkę, ściereczkę do kurzu, klucze zagubione, rosół przesolony. Drobnostki, drobnostki mniejsze od ziarnek piasku, rosną tam w bryły, tak wielkie, iż nietylko zawadzają i ciężą strasznie w drodze tym, którzy je sobie sami kładą, ale i drugim tamują ruch życia.

Zaiste — niema gorszego cierpienia, jak życie w takich warunkach. Zbite szkiełko u lampki, źle wyprasowany fartuszek, zapomnienie jakiego zlecenia — ściąga burzę trwającą parę godzin. Ile tam pocisków bije, ile gromów pada, ile przypomnień kiedyś z przed lat kilku popełnionych przewinień?!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



MIŁOŚĆ BEZ GRANIC.

POWIEŚĆ ORYGINALNA,

osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863-go,

napisana przez

Alberta Gorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Za smutne, za grobowe myśli nachodzą panią w nocy, o której mówią poeci, że jej ludziom zazdroszczą bogowie; w pierwszej nocy po ślubie powinna pani marzyć o niebie, o raju, o światach czarodziejskich, nadziemskich, a pani jak mniszka medytuje o śmierci i tęskni za grobem, za zimnym grobem, w którym piękne ciało człowieka pożre zgnilizna i roztoczą robaki.

— Pan chcesz moją myśl kierować na obrazy, przed któremi się rumieni moje uczucie niewieście, o moim smutku mówisz z lekceważeniem, niegodnem szlachetnego człowieka. Jakkolwiek hrabio lekceważysz wszystko i igrasz z tem co drudzy uważają za świętość, żądać mogę od ciebie, od człowieka, któremu drudzy ludzie przypisują honor, uwzględnienia teraźniejszego mojego położenia i uszanowania nieszczęścia, któreś sam na mnie sprowadził.

— Może pani żądać, może pani żądać śmiało — powiedział hrabia z grzecznością salonowca — przekona się pani, że nie zawiodę zaufania, jakie pani we mnie, w człowieku honoru, pokłada.

— Pan sam powiedziałeś przed chwilą, że wchodząc ze mną w związek szło nie o mnie, lecz o mój majątek. Prawda?

— Tak, prawda, tak powiedziałem.

— Stało się, mój majątek jest już w pańskich rękach, kontrakt ślubny go panu przyznaje, lecz ja, ten dodatek do mego majątku, nigdy do pana należeć nie myślę i należeć nie będę, tak postanowiłam. Majątek mój zabierz pan sobie, ale mnie pan uważaj jako zupełnie obcą panu osobę, będziemy mogli żyć blizko siebie, i to w zgodzie nawet, ale małżeńskiem stadłem nie będziemy nigdy.

— Pani zapomina, że akt ślubny, który mi oddaje w ręce majątek pani, oddaje mi także prawo nad pani osobą, od chwili kiedy nam ksiądz ręce przed ołtarzem powiązał, należy pani do mnie zupełnie.

Eugenia pobladła, przyłożyła ręce do serca, w które krew płynęła gwałtownie, spoglądała z trwogą na swojego męża i truchlała przed myślą, że do niego należy zupełnie i jest od jego woli zawisłą, zarazem świeciło silne postanowienie w jej oczach, niepoddania się pod jego wolę.

— Nie, nigdy do pana należeć nie będę. Przysięgam panu na grób mojej nieboszczki matki, że stanie się jak powiedziałam; raczej umrę, niżbym złamała uczynioną przysięgę.

Hrabia Artur był w tej chwili w wielkim kłopocie. Jakkolwiek zepsuty wewnętrznie, nie był on jednakowoż z wszelkiej czci wyzuty i był nawet zdolnym do szlachetnych popędów. Dla młodej swojej żony czuł niezwykły szacunek i nigdyby się nie był odważył tyranizować ją, lub przełamywać wręcz jej wolę. Gwałtowny jej wybuch, oświadczenie, że nigdy do niego należeć nie myśli i zaklęcie się na nieboszczkę matkę wyrwało go z zwykłej apatji i rozkołysało mu krew w żyłach.

— Niepotrzebnie pani egzaltuje — powiedział z powagą. — Tyranizować panią nie myślałem i nie myślę, miłości, kiedy jej pani do mnie nie czuje, wymagać nie będę, zaś ludożercą nie jestem i śmierci pani nie pragnę. Stanie się, jak pani sobie życzy, będziemy mieszkali razem, będziemy żyć w spokoju i zgodzie, a nigdy się nie zbliżymy do siebie.

Eugenia była zanadto rozdrażniona wypadkami dnia dzisiejszego. Ślub, podróż po ślubie, noc przeczuwana, niezwykłość miejsca i chwili, walki szarpiące jej duszę, złamały ją wewnętrznie, poczęło się ćmić w jej oczach, niewyraźne jakieś obrazy snuły się po jej rozpalonej głowie i wyradzały w coraz fantastyczniejsze postacie, chwiała się, trzymała się konwulsyjnie skurczoną ręką poręczy krzesła, wreszcie sił jej zabrakło i upadła na dywan zaścielający posadzkę.

Hrabia Artur stracił zwykłą przytomność, chodził zakłopotany koło omdlałej żony, podchodził kilka razy do rękojeści dzwonka, chcąc zwołać służbę dzwonieniem, to znowu się wracał z obawy domysłów i plotek, jakieby ztąd powstały, wreszcie podniósł bezprzytomną z posadzki, posadził w najbliższym fotelu, rozebrał z sukni i zaniósł na wspaniałe łoże, ułożył na miękkich wezgłowiach i zasunął jedwabną kotarę, aby jego wzrok błądzący nie patrzał na tę, która przysięgła, że nigdy do niego należeć nie będzie.

* * *

Po ślubie z Eugenią nie wiodło się jakoś hrabiemu Arturowi. Wkrótce po nim umarła mu matka, za matką poszedł wnet ojciec, wierny swojej zasadzie nierozłączenia się z żoną.

Eugenia dochowywała przyrzeczenia niezbliżenia się do męża; zajmowała sama dla siebie oddzielne pokoje, schodziła się z mężem w pewnych godzinach dnia, przy obiedzie u stołu, wieczorem przy herbacie w salonie, rozmawiali o obojętnych rzeczach, lub o domowych stosunkach, ale zresztą byli dla siebie obojętni i zimni.

Hrabia Artur nudził się w domu niepospolicie, chwilowo próbował wstąpić w ślady ojca i chodził z strzelbą na plecach w towarzystwie psa po całych dniach po knieji, grubszego zwierza nie udało mu się nigdy spolować, ubijał po kilka wróbli na dzień i te przynosił regularnie do domu; po kilkudniowych próbach myśliwskiego życia dostał wielkiego kataru, położył się w łóżko i pił rumianek. Wstawszy z łóżka nie brał więcej za strzelbę i nie chodził do lasu.

Był czas, kiedy hrabia Artur z nudów jeździł z wizytami w sąsiedztwo, dla braku arystokratycznych domów, zajeżdżał do szlacheckich dworków i bratał się z szlachtą. Podobało mu się to czas jakiś i nawet nieźle wpływało na jego wewnętrzne usposobienie obcowianie z ludźmi natury, ale wreszcie i te wizyty znudziły go jak wszystko. Stawał się z każdym dniem więcej zamyślony i zadumany, chodził ze spuszczoną głową, tracił apetyt, pił wiele herbaty i palił wiele papierosów, ale to nie zmieniło stanu rzeczy, począł stronić od ludzi i mało brakowało, że mizantropem nie został.

Raz próbował hrabia zbliżyć się do żony: po herbacie nim się usunęła do swoich pokojów, zawiązał z nią rozmowę, był czuły i wylany, mówił o swojej samotności, o nudach, jakie cierpi i o apatyi jaka go ogarnia, prosił o współczucie dla siebie.

Eugenia wysłuchała cierpliwie skargi męża; kiedy skończył mówić, popatrzyła na niego wzrokiem pełnym dumy i ironii, i wyszła z salonu. Kilka tygodni zamykała się u siebie i nie pokazywała się mężowi. Jadała sama i żadne przesyłane przez lokaja zaprosiny nie ściągnęły ją do wspólnego z mężem jak dawniej obiadu.

Taki stan rzeczy trwał lata.

Jednego poranku doniesiono hrabiemu o chorobie żony; wkrótce potem zaprosiła go do siebie przez służebną żona. Przyszedłszy, ujrzał ją bladą na łóżku, usta jej były sine, oczy zapadłe i błądzące niepewnie dokoła. Na widok męża przyszła do siebie, skinęła obecnym, by wyszli, i wyciągnęła do męża suchą, przezroczystą prawie rękę. Mówiła, że przepłakała całe życie, że dla niej nigdy nie było wiosny i nie kwitły dla niej kwiaty, że nie miała szczęścia na ziemi, że życie przeszło jej smutno i że ją nie smuci z światem rozstanie. Mówiła potem, że przy nim nie była szczęśliwą, że miłość, która jedyna życie ludziom umila, nie postała w jej sercu i że on był winien w części smutnej jej doli. Jednakowoż dziękowała mu drżącym i suchym kaszlem przerywanym głosem za to, że uszanował jej wolę i nie zakłócił wstrętem jej samotnego odosobnienia.

Hrabia Artur był wzruszony, płakał szczerze, ukląkł u łoża umierającej i całował zimną jej rękę.

Nic nie pomogły żadne lekarskie środki; po kilku dniach śmierć zwyciężyła i hrabina Eugenia rozstała się z tym światem.

Za trumną żony postępował mąż w ciężkiej żałobie, różne myśli snuły mu się po głowie; życie, którego nie pojmował, nie rozumiał dotąd i które nie cenił, poczęło nabierać dla niego wagi, poczęło go chwytać za serce i prowadzić do rozpatrywania się w okół siebie i do rozmyślania w sposób, w jaki dotąd nie rozmyślał nigdy.

Po pogrzebie zamknął się hrabia Artur w swoim pokoiku i nie kazał nikogo puszczać do siebie, odbył kilkutygodniowe rekolekcye, zasadzające się na głębokich medytacyach o nicości i próżności tego wszystkiego, co z prochu powstało. Kiedy potem wyszedł na świat i między ludzi, był rzeźwy i czerstwy, uśmiechał się, mówił chętnie i udzielał się drugim, był poważny, ale nie dumny, nie nudził się, miał sen dobry i dobry apetyt, splen go odleciał, z człowieka znudzonego i zobojętniałego, począł się przekształcać w porządnego gentlemana, jedzącego obiad o zwykłej godzinie, pijącego wino i czarną kawę do trawienia potrzebną, myślącego o ziemi, o sobie i drugich, w krótkości powiedziawszy w przyzwoitego obywatela, zajętego swoimi i drugich doczesnemi sprawami z takim zapałem i usiłowaniem, jak to przystoi każdemu człowiekowi, noszącemu w sercu to przekonanie, że jak długo się jest na ziemi, jest się daleko od nieba i przy różnych idealnych marzeniach, wykradzionych niebiańskiemu błękitu, trzeba myśleć głównie o życiu doczesnem, inaczej nietylko dlatego, ale nawet może i dla drugiego żywota możnaby przepaść z kretesem.

Owóż taką była przeszłość hrabiego Artura, wrażliwa na wewnątrz, pełna przeobrażeń na zewnątrz.

VII.

Hrabia Artur po kilkoletnim pobycie na wsi oddał zarząd interesów majątkowych w ręce ekonomów i zarządzcy, z westchnieniem wsiadł do wypakowanej podróżnej karety i jechał prosto do Warszawy.

Umyślił w Warszawie zamieszkać.

W Warszawie urządził sobie stósowne mieszkanie, oddawał i odbierał wizyty, robił nowe znajomości a stare odnawiał, udzielał się wiele i był towarzyski.

Między innemi przypomniał sobie hrabia Artur, że słyszał jeszcze w Podlaskiem o pobycie pani majorowej w Warszawie. Pana Jacentego znał on jeszcze z swoich lat dziecinnych po powrocie jego z Francyi. Majorowa znała całe Podlaskie i rozprawiała o smutnych wypadkach jego życia, toż i ojciec Artura wiedziony ciekawością poznania emigranta, najechał go wraz z synem, wówczas jeszcze młodem pacholęciem; postać marsowa zbiedzonego wiarusa przypadła hrabiemu do smaku, zajeżdżał często w jego dworek gościnny a czasami brał ze sobą syna w te odwiedziny.

Nie należy to do dobrego tonu, stósownie do pojęcia wyższego świata, odnawiać dawne znajomości z ludźmi położonymi niżej w towarzystwie społeczeńskiem. Hrabia Artur, jakkolwiek wyższoświatowiec czystej rasy, zrobił tym razem wyjątek. Niewiedzieć czy nudy, czy wspomnienie przeszłości, czy fatalizm wreszcie popchnął go do odszukania pani majorowej. Dowiedział się łatwo, że mieszka z córką, dorosłą piękną panienką, na Pradze.

— Majorowa ma córkę? — pytał siebie w duszy — prawda, pamiętam to małe dziecię, w dzień jej chrztu umarł ojciec; dano jej imię Marya.

Nie namyślał się wiele, wziął świeże rękawiczki, siadł do doróżki i jechał na Pragę.

Była to godzina przedpołudniowa. Marya siedziała przy fortepianie i grała tęskne melodye; te ją rozkołysały i napełniły jej główkę marzeniami, jej serduszko biło żywiej i rwało się z piersi. Pani majorowa siedziała z robótką w rękach, wsłuchiwała się w muzykę córki i spoglądała na nią ukradkiem.

Zajechała przed kamieniczkę doróżka, weszła stara sługa z zakłopotaną miną i mówiła półgłosem:

— W przedpokoju czeka wielki pan, kazał mi powiedzieć: hrabia Artur, i nic więcej.

— Proś go tu zaraz, Basiu — rzekła pani majorowa i poprawiła ubranie na głowie. Znane jej było dobrze nazwisko hrabiego Artura, jego przypominała sobie także z lat dawnych, był wtedy sobie może chłopięciem.

Hrabia wszedłszy mówił z swobodą salonowca.

— Z lat dziecięcych przypominam sobie sąsiedztwo pani majorowej; i ja myślę się podobnie jak pani osiedlić w Warszawie, robię nowe znajomości a odnawiam dawne.

— Cenię sobie nader pamięć pana — mówiła pani majorowa — od lat dziesięciu zamieszkałam z Maryą w Warszawie, od tego czasu nie byłam w Podlaskiem, tam się wiele odmienić musiało.

Hrabia opowiadał z żywością o zmianach, jakie w owych stronach zaszły, mówił o miejscach i ludziach; pani majorowa wypytywała o szczegóły, które ją obchodziły bliżej, konwersacya była żywa i interesująca.

Od matki zwrócił się hrabia z rozmową do córki. Rozmawiał z Maryą o rodzinnych jej stronach. Marya pragnęła je widzieć i tęskniła do nich.

— Tam jest grób mojego ojca — mówiła.

Wizyta trwała krótko. Kiedy hrabia wyszedł, zostawił po sobie dobre wrażenie.

— Grzeczny i uprzedzający — mówiła o nim matka — nie ma w nim dumy.

— Miły człowiek — mówiła córka — zna rodzinne moje Podlasie; chciałabym tam być choć raz jeszcze w mem życiu.

Następne odwiedziny hrabiego były istotną niespodzianką dla matki i córki; nastąpiły one wkrótce po pierwszej wizycie i przeciągnęły się aż do późniejszej wieczornej godziny.

Hrabia, kiedy chciał, miał wyborny humor i umiał zabawić, umiał czynić interesującą konwersacyę i kierował nią podług woli. Matka i córka przysłuchiwały się z uwagą hrabiemu, ceniły w nim jego popularność i spuszczenie z poważnego tonu, w jakim przemawia zwykle arystokracya.

Dalsze odwiedziny hrabiego stały się peryodycznemi i powtarzały się często. Hrabia obznajmił się wkrótce z wszelkiemi właściwościami i matki i córki, stósownie do tego przedstawiał im się zawsze w jak najlepszem świetle; początkowo miały na uwadze obie, że mają do czynienia z hrabią, później poczęły zapominać o wysokim jego rodzie, ceniły go jako zacnego i godnego człowieka, on stał się domowym ich gościem i był najchętniej od nich przyjmowany. Matka widziała w nim znajomego z lat dawnych, on mawiał często o panu Jacentym, którego przypominał sobie dobrze, mawiał o dawniejszych czasach, o dawniejszej lepszej przeszłości; pani majorowa słuchała chętnie takich opowiadań i wzdychała dla siebie. Marya widziała w nim przyjaciela, człowieka dobrego serca, który bicie serca cudzego zrozumieć umie, któremu się można pożalić, przed którym można się spowiadać z uczuć i marzeń.

Hrabia przesiadywał przy boku Maryi długie godziny, mówił jej o pięknych rzeczach, o natchnieniach serc ludzkich, o miłości, jaka w tych sercach goreć powinna, mówił o pięknie świata, o dziełach boskich i o dziełach rąk ludzkich; ona ścigała myślą myśl jego, wsłuchiwała się w dźwięczne brzmienia jego mowy i wpatrywała się w obrazy, jakie jej wprowadzał przed oczy.

Marja grywała przy nim często na fortepianie. Grała pięknie, wprawnie i z czuciem. Czasem śpiewała przy nim jaką pieśń serdeczną; głos jej był harmonijny, miękki i dźwięczny zarazem; pieśni nasze są dziwnie piękne, wiele z nich bywa śpiewanych na nutę niezrównanej serdeczności i dźwięku, śpiewane ustami dziewicy wielki urok i wielką ponętę sprawiają, rozkołyszą serce i rozmarzą duszę.

Za granicą cenią głównie muzykę kunsztowną, sztuczną, wiele tonów połączonych w głuszącą całość, nowe, nieznajome dźwięki, oto cała jej wartość, serdecznej, rzewnej melodyi w niej nie dopatrzeć. U nas taka muzyka ma mało zwolenników, u nas wolą proste pieśni; duch wiejący od ich słów, melodya, na jaką bywają śpiewane, te je czynią ulubionemi i pamiętnemi; pieśń rzewna raz zasłyszana nie zapomina się nigdy, tęskni się za nią, jak za czemś drogiem i miłem.

Czasem towarzyszył Artur męzkim wyrobionym głosem w śpiewie Maryi, głosy ich spływały razem w piękną całość, podnosiła ją gra fortepianu.

Marya przylgnęła do hrabiego Artura, tęskniła za godzinami, które nawykła przepędzać w jego towarzystwie, lubiła dźwięk jego głosu, często nosiła cały jego obraz w główce; tych marzeń nie siliła się od siebie oddalać; nie widziała ona w nich nic niebezpiecznego, nachodziły one ją mimowoli, a nie myślała nad tem, z jakiegoby one budzić się mogły źródła.

Pani majorowa z początku również nie zwracała uwagi na nowego dostojnego gościa i na jego stosunek do Maryi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)





Zagadkowe drzwi

Oryginalne tłomaczenie z angielskiego dla „Pracy" przez P. Otrys.

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy).

Przysięgli opuścili dom, wielce niezadowoleni. Stracili dużo czasu i nie dowiedzieli się niczego. Śmierć pani Davorn była już wyjaśnioną, chodziło jeszcze tylko o pieniądze i o powód zamknięcia drzwi, i to właśnie najwięcej ich zaciekawiało.

— Niech licho weźmie wszystkie tajemnice, — zawołał jeden z nich, — niech policya szuka złodzieja, niech robią co chcą! Mnie to zupełnie obojętne! Jestem głodny, idę na śniadanie, kto pójdzie ze mną?

— Słusznie, słusznie, — przywtórzyli inni — idziemy wszyscy z panem!

I w najbliższej restauracyi zapomnieli o wszelkich sprawach sądowych.

Na posiedzeniu poobiedniem wezwano jako pierwszego świadka doktora Percivala.

— Dnia 10 października, zaczął głośno i stanowczo, — wezwała mnie panna Rodney o szóstej rano do ciotki swej.

— Gdy przybyłem, zastałem panią Davorn nieżywą.

— Kiedy mniej więcej użyto gąbki, nasiąkłej chloroformem? — zapytał prezydent.

— Tego nie wiem — odrzekł doktor z uśmiechem — ale mogę powiedzieć stanowczo, że chloroform nic zmarłej nie zaszkodził!

Śmiertelna cisza zapanowała na sali. Wszyscy patrzeli zdumieni na doktora, a nawet prezydent podniósł głowę i spojrzał z niedowierzaniem na doktora. Jeden tylko Goring zatarł ręce z zadowoleniem.

ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

Albert Steinworth stał z otwartemi ustami, a dawniejsza jego obojętność znikła zupełnie. Bez tchu nieomal słuchał, gdy doktór Percival ostatnie wyrzekł słowa.

Vickery zerwał się z krzesła i postąpił machinalnie kilka kroków naprzód.

— Boże wielki! — jęknął — więc nie jestem mordercą nieszczęśliwej kobiety!

Maurycy nie dowierzał swoim uszom, i nie zważając na nikogo, wybiegł do przyległej sali, w której znajdowała się Alicya. Percival pospieszył za nim.

— Panna Rodney powinna jechać natychmiast do mojej żony — zawołał żywo — pan zaś musisz iść ze mną, dodał, zwracając się do Maurycego. Zjemy gdzie po drodze obiad, bo nic prawie dziś nie jadłem. Doktor Norton, mój przjaciel, zaprosił mnie, pojedziemy więc do niego. Proszę pana jednak, nie wspominaj mu nic o tej sprawie, bo i on zbadał ciało pani Davorn i będzie stawał tutaj jako świadek.

Szczęściem nie przeczuwał Maurycy wcale, że inspektor Briges miał w kieszeni rozkaz aresztowania go. Gdy Vickery przyznał się do zachloroformowania pani Davorn, był biedny Briges w wielkim ambarasie, nie wiedział bowiem, kogo właściwie aresztować mu wypada, a potem, co doktor Percival orzekł, stracił już zupełnie głowę. Najchętniej byłby się poradził Goringa, ale duma nie pozwalała mu na to.

— Zaaresztuję jednak Vickerego — rzekł sobie w duszy, później można go znowu wypuścić na wolność.

Na rozkaz prezydenta musiał Percival wrócić na salę i dokończyć swych zeznań.

— Że pani Davorn nie została zamordowaną chloroformem — mówił spokojnie i stanowczo, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Zbadałem ciało jak najsumienniej razem z doktorem Nortonem i poznaliśmy łatwo, że pani Davorn umarła śmiercią naturalną, na paraliż serca. Nerwy jej mocno były rozstrojone — śmierć nastąpiła nagle około dwunastej w nocy. Norton i ja możemy to potwierdzić uroczystą przysięgą!

— Więc chloroform nie ma rzeczywiście żadnej styczności ze śmiercią pani Davorn? zapytał prezydent.

— Najmniejszej! Użyto go już po śmierci jej.

— Muszę jeszcze przesłuchać doktora Nortona — rzekł prezydent tak szorstko, że sędziowie przysięgli zdumieni spojrzeli na niego.

Ale w tejże chwili rozległ się przerażający krzyk i oczy wszystkich zwróciły się na lewo. Albert Steinworth stał z podniesionemi rękami, i zanim policyant Metcalf zdołał go pochwycić, upadł zemdlony na ziemię.

Detektyw Goring uśmiechnął się znowu zagadkowo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

— Ładna historya — mówił Briges do Goringa, gdy wieczorem tego dnia spotkał go w gmachu policyjnym. Posiedzenie odłożono na poniedziałek.

— Vickery przyznaje się do winy, a doktorzy przysięgają, że pani Davorn umarła śmiercią naturalną. Steinworth, którego ja najwięcej podejrzywałem, jest niewinnym, jak baranek, a pomimo to mdleje, gdy słyszy, że chloroformu użyto trochę za późno do zabicia tej nieszczęśliwej kobiety. Evans zdaje się nie mieć nic wspólnego z tą zbrodnią a zachowywał się tak, że mimowoli trzeba go było posądzać... Niech licho weźmie wszystkie te tajemnice! Powiedz mi pan nareszcie, co myślisz o tej całej sprawie?

— Przedewszystkiem — odparł Goring — nie widzę żadnej sprzeczności w zeznaniu Vickerego i twierdzeniu doktora Percivala, ale, jak panu raz już powiedziałem: nie lubię objawiać przedwcześnie mego zdania. Mam mój własny sąd co do tej sprawy, przynajmniej o tyle, o ile chodzi o śmierć pani Davorn. Nie uważasz pan, na jakie bezdroża może wprowadzić zbyt pospieszne działanie? Dziś naprzykład nie znajduje się o mało dwóch niewinnych pod kluczem!

— Podziwiam talent pana nie objawiania swego zdania, rzekł Briges kwaśno. — Co myślisz o zeznaniach Percivala i Vickerego, to już wiem. Vickery miał zamiar ubezwładnić panią Davorn chloroformem i nie przeczuwał, że położył rękę na twarz nieżywej już kobiety. Jest to bardzo ważny punkt.

— O tak!

— Ale wracając do zamkniętych drzwi, muszę przyznać, że tej zagadki zgoła nie rozumiem. Miesza to wszelkie szyki, bo zresztą podzielam zupełnie zdanie pana...

— Proszę — ja dotąd mego zdania jeszcze nie wypowiedziałem — przerwał Goring.

— Że z ulicy nikt pomódz nie mógł — dokończył Briges niezmieszany.

— Ależ ja nigdy tego nie mówiłem — zawołał Goring żywo. — Powiedziałem przecież tylko, że podług mego przekonania, nikt okna parterowego z ulicy nie otwierał!

— Mniejsza o to, z panem nie umiem dać sobie rady, wiem jednak tyle, że nie wiele mi dotąd pomogłeś.

— Pomagam, jak potrafię, proszę tylko nie zapominać naszego układu! Ja szukam złodzieja, pan — mordercy. I czy nie dosyć ci pomogłem? Skłoniłem cię do ostrożności i przeszkodziłem w aresztowaniu niewinnego! A teraz — no, nie marszcz pan tak gniewnie czoła, powiedz mi lepiej, co sam o tem wszystkiem myślisz!

— Mamy tu więc do czynienia z trzema młodymi ludźmi, z których każdy znajduje się w bardzo przykrych stosunkach pieniężnych.

— To się częściej zdarza — zawołał Goring z uśmiechem. — Ale pan niezupełnie masz słuszność. Steinworth potrzebował pieniędzy, Vickeremu, który cierpi widocznie na obłęd wynalazczy, zdawało się, że ich potrzebuje. Doktor Ewans nie wie sam, czego chce. „Należy on do tych ludzi, którzy pragną księżyca, a gdyby go dostali, zapragnęliby innej gwiazdy i tak dalej. Proszę, mów pan, nie będę ci już przerywał.

— Nie wiele mam do powiedzenia, bo pomimo wszystkiego, co słyszałem od świadków, nie mogę się pozbyć mego pierwszego podejrzenia...

— Aha — Steinworth!

— Tak i chociaż Vickery przyznał się do chęci ubezwładnienia pani Davorn i Percival twierdzi, że umarła śmiercią naturalną, to zachowanie się jego dziś na sali utwierdziło mnie w przekonaniu, że on jest w sprawę tę wtajemniczony.

— Może być, ale jest też możliwem, że on częściej mdleje, a dzisiejsze jego zemdlenie nie potrzebuje wcale jeszcze być dowodem, że stoi z tą sprawą w styczności.

— Znowu mi pan przerywasz!

— Nie, nie, tylko namawiam do ostrożności! Ludzie naszego zawodu nie mogą być dosyć ostrożnymi.

— Słowa pana dziwią mnie prawie tyle, ile sprawa sama. Ale wracajmy do rzeczy. Faktem jest, że dnia 10 października był Steinworth o szóstej rano zamknięty w swoim pokoju i że nie mógł do niego wejść, ani wyjść oknem. Vickery był o tym samym czasie także zamknięty, a pomimo to powiada, że około trzeciej chciał panią Davorn uśpić chloroformem i wziąść jej pieniądze. Zdaje mi się, że on tej nocy nie wychodził wcale z swego pokoju!

— Co do tego punktu to wiem tylko tyle, że Vickery ani oknem wychodził, ani wchodził.

— Więc uważasz za możliwe, że dla nieznanego nam jeszcze powodu zeznał fałszywie? Ależ gąbkę jego znaleziono w łóżku zmarłej — i on przyznał się do tejże gąbki — to więc potwierdza jego zeznanie. I niech będzie, co chce — jeżeli Steinworth rzeczywiście nie ma z tą sprawą nic wspólnego, to wie jednak, kto jest winnym.

— Chciałem poprzednio powiedzieć co myślę, ale widzę, że muszę jeszcze z tem zaczekać.

— Obawiam się, abyś pan zbyt długo nie czekał. Tracimy czas, a każda minuta jest nam drogą.

— Ja wcale czasu nie tracę. Cała moja uwaga jest zwrócona na wykrycie złodzieja i odebrania mu pieniędzy, a chociaż nie wiele jeszcze postąpiłem naprzód, to mogę pana jednak zapewnić, że nie oddalam się od celu.

— A zatem masz pan pewną teoryę co do złodzieja.

— Tak, ale nic więcej powiedzieć nie mogę, bo nie mam dowodów. Co do mordercy...

— No, przecież o morderstwie niema już mowy, pani Davorn umarła śmiercią naturalną!

— Powiedzmy więc: co do szukania tego, który panią Davorn chciał zamordować...

— Takiego człowieka niema wcale — przerwał znowu Briges niecierpliwie. — Cieszę się, że i pan jesteś zdolnym do popełnienia omyłki.

— Zobaczymy! W każdym razie zwiększa to bardzo winę tego, kto w celu zabrania pieniędzy używa chloroformu dla uśpienia ich właściciela. Mówiłem panu zaraz, że wypadek ten jest nadzwyczaj zawikłany i tajemniczy.

— Na nic mi się to nie przydało — odrzekł inspektor niechętnie.

— Jesteś pan niewdzięczny — odrzekł Goring, śmiejąc się — pomimo to lituję się nad tobą! Domyślam się, że nie jesteś zadowolonym, że najchętniej chciałbyś byle zkąd wyrwać mordercę, aby go kazać zaaresztować. Pochodzi to z zbyt wielkiego interesowania się największymi łotrami, do których ja żadnego nie mam zaufania.

— Ja też nie — potwierdził Briges poważnie.

— Przyjemność zaś ścigania złodziei ma pewne przytem korzyści, ale cokolwiek bądź chcesz pan uczynić, musisz mi przyrzec, że się na mnie gniewać nie będziesz!

— Nie, nie, tylko teraz, zdaje mi się, nie pora do żartowania. Jeżeli teraz nie skupimy całej naszej uwagi w jednym kierunku, to możemy się znaleźć w bardzo nieprzyjemnem położeniu. Vickery siedzi w areszcie na mocy własnego zeznania, ale Steinworth i doktor Ewans są wolnymi i prawo nie opiekuje się nimi. Jeżeli żaden z nich nie stoi w łączności z tym wypadkiem, w takim razie źle z nami, bo nie wiemy kogo i gdzie szukać. Gdyby natomiast obydwaj, albo chociaż jeden z nich był winowajcą i sprawa wyszłaby na jaw po ich ulotnieniu się, wtedy musimy ze wstydem uznać się za pobitych i być przygotowanymi na porządną burę szefa.

— Czy oni wiedzą, że policyanci nie obserwują ich już?

— Naturalnie!

— Nie masz pan już podejrzenia na Evansa? Z początku nie bardzo mu też ufałeś!

— I nie ufam, — odrzekł inspektor. — Jeżeli Steinworth i Vickery są niewinni, bo znowu przychodzą mi na myśl owe zamknięte drzwi, w takim razie jest Evans winnym i gdybym miał obowiązek szukania złodzieja zwróciłbym na niego baczną uwagę. Ale sprawa ta należy do pana.

— Więc podług zdania pana byłaby panna Rodney jego wspólniczką? Ona miałaby drzwi zamknąć? — zawołał Goring, zapalając cygaro.

— Hm, hm — no tak! — rzekł inspektor po krótkim namyśle. — Doktor Evans słuchał z natężoną uwagą zeznania doktora Percivala. Ale powiedz mi pan, wiedziałeś zaraz od początku, że pani Davorn umarła śmiercią naturalną, a nie wskutek chloroformu?

— Domyślałem się tego, po rozmowie z doktorem Percivalem.

— Więc nie byłeś pan względem mnie zupełnie szczerym, — zawołał inspektor oburzony!

— Postępowałem tak, jak to uważałem za najwłaściwsze, i mówiłem panu, abyś chloroformowi nie przypisywał za wiele znaczenia. Wiedziałem też, że sprawa ta przestałaby cię natychmiast zajmować, gdybyś się był dowiedział, że pani Davorn umarła śmiercią naturalną. Co do mnie, jestem egoistą i.... ale nie gniewaj się pan, śledztwo sądowe jeszcze nie ukończone! Prokurator jest równie zdziwiony tą sprawą, a to dzielny prawnik, możesz mi pan wierzyć. Dla pana i dla mnie dosyć jeszcze będzie roboty, aż nadto, i część wszystkiego, co na mnie przypada, chciałbym dziś załatwić!

— Dziś? W jaki sposób?

— Wszakże dom pani Davorn stoi zawsze jeszcze pustym?

— Tak, panna Rodney oddała mi wszystkie klucze, dom jest zamknięty. Drzwi i okna mocno są zaryglowane.

— Dasz mi pan klucze?

— Owszem, ale po co?

— Chcę tam dziś spać jeszcze raz. Następne posiedzenie odbędzie się w poniedziałek, będę się więc starał o załatwienie chociaż w części, mego zadania. Może znajdę coś, co trochę rozjaśni tę ciemną sprawę, zanim sędziowie przysięgli utworzą sobie zdanie i wypowiedzą swój sąd.

— Ba, co oni powiedzą, nie trudno zgadnąć.

— Kto wie! Może zeznanie doktora Nortona będzie bardzo ważne....

— Wątpię.

— No, zobaczymy. W każdym razie pragnąłbym znaleźć aż do poniedziałku owe pieniądze!

— Życzę panu jak najwięcej powodzenia.

— To znaczy, że pan wątpisz o niem!

— Czy wolno spytać, jaki plan ułożyłeś?

— Chwilowo nie mam żadnego planu, chcę tylko przepędzić noc w domu zmarłej, jutro poproszę pana, abyś mi w następnej nocy dotrzymał tamże towarzystwa. Jeżeli coś odkryję, to opowiem panu otwarcie, w jaki sposób się to stało, jeżeli nie, to sam poniosę klęskę.

Inspektor wstał i sięgnął po kapelusz.

— Więc proszę pana o klucze, — rzekł Goring, — i o powtórne, a szczere życzenia szczęścia.

— Daję panu chętnie jedno i drugie, — zawołał Briges, wyjmując z kieszeni pęk kluczy.

— Dziękuję. Do widzenia zatem jutro na wieczór, w domu pani Davorn! Nie wspominaj pan nikomu w świecie, że ja tam dziś noc przepędzę. Ani policyanci, ani sąsiedzi zmarłej nie powinni o tem wiedzieć. Przyjdź pan tam jutro niepostrzeżenie około jedenastej, może będę ci już mógł udzielić ważnych wiadomości!

— No, no, zobaczymy, — rzekł inspektor, uśmiechając się szyderczo.

Goring rozśmiał się także.

— Dobranoc, zawołał swobodnie.

Obydwaj panowie podali sobie ręce i rozstali się w najlepszej zgodzie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.

Ponieważ noc była jasną i pogodną, przeto postanowił Goring przejść się jeszcze trochę.

O dziesiątej opuścił gmach policyi i szedł po ulicach zupełnie bez celu, aż nareszcie stanął na New Street, najpiękniejszej ulicy w Clayfeld, szerokiej, długiej i ozdobionej pięknemi ogrodami, otaczającemi wytworne kamienice.

Gdy się rozstawał z inspektorem nie ułożył sobie jeszcze żadnego wyraźnego planu oprócz tego, aby spać dziś w domu przy ulicy Felspart. Ale nie czując się zmęczonym, przechadzał się dalej i doszedł do rogu Felspartu. Tutaj zatrzymał się na chwilę, potem wrócił znowu na New-Street, i patrzał na domy, które wszystkie prawie były jeszcze oświetlone. Nagle stanął i podniósł głowę.

— Aha — pomyślał — to dom doktora Percivala! Nie chciałbym być za nic w świecie lekarzem. Krajać trupy — brr — to nie dla mnie! W tejże chwili spostrzegł, że drzwi domu otwierają się, i mimowoli, sam nie wiedząc dlaczego, cofnął się za drzewo, gdzie go nikt dojrzeć nie mógł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nie zostawię bez niczego.

Nie zostawię bez niczego
Kobiety, dzieci,
Kobiety, dzieci,
Gdy mi odejść będzie trzeba:
Zostanie im szmatek nieba,
Co słonkiem świeci — a patrzy,
Co słonkiem świeci!

Zostanie im bór szumiący,
Leśne jagody,
Leśne jagody!
Polne grusze zagonami,
Pszczelne roje nad lipami,
Srebrzyste wody — a rosa,
Srebrzyste wody!

Zostanie im nocką jasną
Miesiączek złoty,
Miesiączek złoty!
Będą miały pod głowiny
One wzgórza a doliny,
Moje sieroty — bez ojca,
Moje sieroty!

Będą miały i matula
Krzyżyk u drogi,
Krzyżyk u drogi!
I figurkę wedle wioski
Z obrazikiem Częstochowskiej,
Moje niebogi — serdeczne,
Moje niebogi!

Zostawię ja im u ludzi
Hojny przysiewek,
Hojny przysiewek!
Trochę woli, trochę doli,
A gdy w sercu co zaboli,
Przygarstkę śpiewek — od ucha,
Przygarstkę śpiewek!

Będą sobie, hej, chodziły
Z progu do progu,
Z progu do progu!
Nie sumując, przytupując,
Dobrym ludziom przyśpiewując,
Ludziom a Bogu — na chwałę,
Ludziom a Bogu!

Nie zostawię bez niczego
Sierotek z wdową,
Sierotek z wdową!
Będą miały na tym łanie:
Dobrych ludzi i kochanie,
Śpiewki nad głową — a zorzę
Śpiewki nad głową!

K. Laskowski.



Fałszywy alarm.

I.

Julian M., ubogi, nieznany kompozytor, dzięki powodzeniu wesołej operety, stał się z dnia na dzień głośnym, rozrywanym, bogatym.

Pragnąc powetować długie lata nędzy i upokorzeń, artysta rzucił się w wir szalonych uciech. Sceptyczny i zgorzkniały, jak wszyscy, którzy wiele przecierpieli, wyszydzał sławę — którą pozyskał najmniej wartościowem dziełem, miłość — goniącą go w salonach, a omijającą dawniej na poddaszu, przyjaźń ludzką, — zdobywaną dzięki „aureoli," wytworzonej przez reporterów i wzmiankarzy.

Młodzieniec dopóty drwił ze wszystkich i ze wszystkiego, z pewną siebie wyższością, dopóki na jednym z letnich „garden party" nie poznał pięknej pani Matyldy, której jedno wejrzenie zmieniło radykalnie cały pogląd jego na ustrój wszechświata.

Odtąd bowiem świat cały odbijał się dlań w lazurowych źrenicach powabnej wdówki, a wartość życia streszczała się w jej uśmiechu.

Jednem słowem, zakochał się do szaleństwa, on, który lekceważył uczucia i poprzysięgał swobodę starokawalerską, uznał się za najszczęśliwszego z ludzi, gdy ksiądz związał ręce jego z rączką wybranej...

II.

I rozpoczęła się dla obojga epoka szczęśliwości bezbrzeżnej — żyli dla siebie i przez siebie — przeżywali sen rozkoszny, nie troszcząc się o otaczający ich świat.

Sami ręka w rękę przebiegali przepyszne lasy, otaczające jego podmiejską posiadłość, na łonie natury snuli sielankę starą jak świat, a piękną jak odradzające się w nieskończoność uroki wiosny.

Błogą ciszę i rozkoszną samotność we dwoje, przerwało przybycie malarza Konrada, kolegi Juliana. Powracał z Włoch, gdzie lat kilka na studyach przebywał i rozgościł się w sąsiedztwie młodej pary, pragnąc pozostać czas pewien w kraju, w gronie dawnych przyjaciół i znajomych. Szczery entuzyasta, pełen miłości dla ludzi i piękna, wnosił ze sobą przytem pierwiastek serdecznego humoru, odbijający korzystnie od sentymentalizmu gruchających małżonków. Polubili go za to oboje, odczuwając w nim poczciwe, sympatyczne serce, przypuścili go do poufnego życia, przeplatając erotyczną idyllę serdecznemi gawędami przyjacielskiemi.

Przez parę miesięcy płynęły im mile dni, ożywione wspólnem zaufaniem. Nagle humor Juliana się zmienił. Młody człowiek spoważniał, sposępniał, ujawniać zaczął niczem niewytłomaczoną drażliwość...

Okropna myśl mroczyła mu mózg, przytłaczała serce...

Żona i przyjaciel!...

Nie, to byłoby potworne, ohydne... A jednak, czyż sam nieraz nie nadużywał zaufania innych? Ale nie, nie. To zupełnie co innego. Tak nie było. Mylił się, dał się wprowadzić w błąd nic nie znaczącym pozorom.

Usiłował wyrwać się z mocy dręczącej go suggestyi... Traktował ją jak chorobę nerwową, szukał leku w długich spacerach, w wysiłku mięśni, w znużeniu fizycznem.

Nic nie pomogło.

Okropne posądzenie powracało wciąż z coraz to silniejszą mocą argumentów. Jak im się oprzeć?

Konrad przybywający zwykle w porze wieczornej lub obiadowej, od paru tygodni zjawiał się w godzinach jego nieobecności. To był fakt nie ulegający zaprzeczeniu. Kilkakrotnie Julian powracał do domu (z początku przypadkowo, później pod udanym pozorem), zastawał służbę dziwnie zmieszaną, a żonę usprawiedliwiającą niczem nie umotywowaną obecność Juliana.

Kilka razy spostrzegł nawet jakieś niepokojące znaki porozumiewania się wzajemnego pomiędzy nimi.

Były to jednak tylko niepochwytne pozory.

Niebawem przy zdwojonej czujności, zdobył pozytywniejszy dowód.

Pewnego wieczoru wyszedł manifestacyjnie z pokoju po to jedynie, aby ukryć się za portyerą i być świadkiem *ich* poufnej rozmowy.

Szeptali coś długo pomiędzy sobą, wreszcie *on* złożywszy pocałunek na jej ręce, rzekł tonem pełnym niepokoju:

— Czy choć Juljan nie domyśla się niczego?

Na co przewrotna winowajczyni odparła z oburzającą bezczelnością:

— Nie ma obawy; ten zapatrzony wciąż w gwiazdy marzyciel nie widzi tego, co się naokoło niego dzieje.

Podejrzenia nabierały mocy. Niepewność zmieniała się w ból, piekący nie do zniesienia. Rozpacz jego doszła do szczytu, gdy nazajutrz do uszu jego dobiegły słowa żony wypowiedziane tuż, tuż do ucha przyjaciela:

— A więc jutro... tylko wcześnie... Zaraz po *jego* wyjściu.

Julian nie mógł słuchać dalej. Uciekł do swego pokoju i padł bezwładny na fotel. Ból na razie zagłuszył gniew i oburzenie. Ręce mu drżały — oczy zamroczyły łzy.

Stało się nieszczęście niepowetowane i życie jego było złamane — bezpowrotnie.

III.

Noc całą przemęczył się pośród szamotań i sprzecznych planów. Nazajutrz o świcie wysunął się z domu... Biegł prosto przed siebie bez celu i myśli...

Po kilku godzinach dzikiej niemal wędrówki, podczas której sam nie wiedział, przed czem ucieka i co go goni, postanowił zdobyć się na jakiś czyn ostateczny, dający ujście jego bezbrzeżnej rozpaczy...

Wsunął się niespostrzeżenie do swego gabinetu, ujął w rękę rewolwer i nasłuchiwał duszą całą... Dwa śmiechy swobodne: śmiech jej i Konrada dolatywał uszu jego, rozbrzmiewając dlań niby echa pogrzebowe.

Trzeba było działać bez namysłu... Skierował kroki ku sypialni żony... W drzwiach jadalnego pokoju zastał ich oboje.

Matylda wydała okrzyk zdziwienia, Konrad zaklął nieparlamentarnie.

— Mówiłem pani, że się czegoś domyśla — zawołał.

Oczom Juliana przedstawił się stół nakryty odświętnie, przybrany kwiatami, a tam po za stołem z pokrytych pluszem stalug wyłaniał się obraz olejny.

Konrad z paletą i pędzlem w ręku, widocznie dawał „ostatnie" dotknięcia,

podczas gdy Matylda zawijała starannie wytworny pakiecik, składając go obok nakrycia Juliana.

No i wartoż było się tak męczyć dla sprawienia mu niespodzianki? — zawołała z nadąsaną minką. — Ten nieznośny człowiek zjawia się zawsze nie w porę... Brzydki solenizant...

Imieniny! To były jego imieniny!

Julian stał chwilę oszołomiony nadmiarem szczęścia, które go przygniatało.

Na stalugach widniał prześliczny portret, wyobrażający Matyldę, tulącą się pieszczotliwie do jego wyraziście nakreślonej postaci — a na stole ze źle zawiązanych bibułek, wysuwało się album jego kompozycyi, wytwornie oprawnych...

Dwa zacne serca porozumiewały się nie po to, aby go zdradzać, ale aby mu wyświadczyć niespodziankę.

— Po co ci u djabła ten rewolwer? — zapytał Konrad.

Ja... Ja? Chcę dać wystrzał, oznajmiający rozpoczęcie się uroczystości familijnej — rzekł.

I doszedłszy do okna, wypalił z wesołym śmiechem w pustą przestrzeń.

— A teraz — dodał, zwracając się do żony i przyjaciela — Powiedzcie, jak wam wyrazić moją radość i wdzięczność?...

J. G.



O Zosieńce sierocie.

W chacie siedzi Zosieńka spłakana,
Ciągle płacze i zimą i latem,
U ciemnego tam płacze tapczana,
Gdzie jej matka żegnała się z światem,
Oj! na wieki żegnała się z światem.

Siedzi ciągle z zgasłemi oczyma,
Siedzi w zimnie, głodzie i ciemnocie;
Oj, biadaż mnie, mateńki mej niema,
Oj, biadaż mnie, oj, biada sierocie,
Samej jednej biada mnie sierocie!

Trzy tak lata płakała Zosieńka,
Trzy miesiące i trzy dni płakała:
Aże przyszła do niej w śnie mateńka,
Która z grobu na płacz dziecka wstała,
Na płacz dziecka, oj! z trumienki wstała.

Więc Zosieńka podniosła rączęta
I wołała tak do niej miłosna:
„Czemuś smutna taka, matko święta,
O, czemuś ty, matko, tak żałosna,
Taka smutna bardzo i żałosna?

Jakie niesiesz ty dwa wiadra wody,
Że cię ciężar aż ku ziemi gniecie?
Małoż miałaś ty tutaj swobody,
Że na tamtym musisz dźwigać świecie,
Oj, na tamtym musisz dźwigać świecie?"

„Oj, córeczko, oj, córeczko miła,
Zosiu moja z czarnemi oczami,
Toś ty płaczem swoim mi zrobiła,
Toć ja twoje łzy dźwigam wiadrami,
Wszystkie twoje łzy dźwigam wiadrami."

I staruszka przeszła pochylona
Wiadra ciężko gniotą ją ku ziemi,
A Zosieńka próżno przelękniona
Chciała pomódz rączęty białemi,
Rączętami swemi miłosnemi.

Lecz już odtąd Zosia nie płakała,
Ani w kącie już siedzieć dziewczynie,
Ale w polu pilnie pracowała,
I zajaśniał ogień na kominie,
Jasny ogień zabłysł na kominie.

Przez dzień cały u żniwa na czele, —
Toć zawitał dobytek do chatki;
A co wieczór i w każdą niedzielę
Modliła się za duszę swej matki,
Za duszyczkę swej kochanej matki.

Trzy miesiące przeszło i trzy roki,
Nocy trzeciej usnęła Zosieńka,
Gdy u czółka znowu w sen głęboki
Stanęła jej bieluchna mateńka,
Jakby żywa, bieluchna mateńka.

Aleć dziwnie była uśmiechniona,
I w chędogą przyodziew przybrana,
I podniosła bez wiader ramiona.
Aże Zosia „Mateńko kochana,"
Zawołała, mateńko kochana!"

„Córuś moja, dziecię moje drogie!
Toć ja teraz u Boga szczęśliwa,
I na sobie szaty mam chędogie,
I me ciało spokojnie spoczywa,
O! w trumience spokojnie spoczywa.

A ma dusza nad tobą się śmieje,
Czyli uśniesz na moim tapczanie,
Czyli wstajesz, gdy rano zadnieje,
Czy na łące zielonej lub łanie,
Przy robocie na łące lub łanie.

A gdy w chacie ozdoby przybywa,
Gdy się mnoży w maleńkiej chudobie,
To ja cieszę się taka szczęśliwa,
Jakbym była tutaj, tuż przy tobie,
O, przy tobie, córeczko przy tobie.

A gdy idziesz ubrana w kwiatuszki
Do kościoła, o, moje ty dziecię,
To ja chlubię się pomiędzy duszki,
Że mam taką córeczkę na świecie,
Taką dobrą córeczkę na świecie."

I. Szujski.



Szarotka.

Wzrasta kwiecie wśród alpejskich gór,
Na śnieżystych niebotycznych szczytach;
To się kąpie w oceanie chmur,
To w pogodnych rannej mgły błękitach.

Kołysane mroźnem tchnieniem burz,
Lub szalonym wichury poświstem
Nie ma woni, ani krasy róż,
Lecz jest białem, nieśmiertelnie czystem.

Raz w pogodny wczesnej wiosny dzień,
Z wschodem słońca wyszło dziewczę w góry...
Na jej czole błądził smutku cień,
Łzami zaszły cząt jej lazury.

A gdy alpejskiego rogu głos
Hen w pastuszej zadzwonił piosence,
Na nieszczęsny zapłakała los
I z rozpaczą załamała ręce.

I serduszko rzewny ścisnął żal,
Gdyż ostatnie spędza wśród gór rano...
Pójść niebawem musi w mroczną dal,
Szukać chleba w stronę jej nieznaną.

I już może swych rodzinnych gór
W życiu całem nie zobaczy więcej...
Nie rozbudzi smętny różka wtór
Wspomnień skrytych w piersi jej dziewczęcej.

Porzucając szczęścia swego świat,
Co kołyską pory był weselnej
Lat młodzieńczych — bierze z sobą kwiat...
Kwiat szarotki, skromny, nieśmiertelny.

Lata przeszły... pośród obcych stron
Z głogów, oraz cierni wiodła życie...
Czasem tylko łzawy pieśni ton
Z ócz błękitu łzy wyciskał skrycie.

Lecz na ziemi wszystko ma swój kres...
Raz w jesienne rano chmurne, szare,
Gdy ostatki wypłakała łez,
Smutną życia spełniła ofiarę.

A gdy na nią promień słońca padł,
W aureolę strojąc w marmur skroni,
Znaleziono nieśmiertelny kwiat
W konwulsyjnie zaciśniętej dłoni.

Władysław Nawrocki.



Kronika.

Żywiej niż śmierć najpotężniejszych monarchów poruszył nasze serca polskie zgon cesarzowej Wiktoryi. Obcą nam była pochodzeniem, obcą stosunkami, w które ją zamążpójście wprawiło, ale nie obcą, nie obojętną była społeczeństwu naszemu, jakkolwiek nie zdziałała niczego, coby nas do szczególnej wdzięczności obowiązywało. Te same serca polskie, z których kierownicy polityki pruskiej, wraz z legionami swoich pachołków, zdołali wykorzenić wszelką życzliwość dla niemieckiego plemienia, te same oto serca potrafiły zachować pamięć sympatyczną dla monarchini, która przecież niczego prócz słów szczerze ludzkich narodowi polskiemu nie dała w ofierze. Dla złajdaczonych i znikczemniałych szowinistów pruskich powinno być objawieniem pouczającem to, że wszystkie dzienniki polskie poświęciły sympatyczne wspomnienie schodzącej do grobu obcej władczyni. Powinno ich pouczyć, że naród polski zbyt jest szlachetnym, ażeby tylko za doznane faktyczne dobrodziejstwa wywzajemniać się uczuciem przychylnem, że raczej już samo szczersze i uczciwsze usposobienie nam wystarcza, ażebyśmy przyjaznem odpowiedzieli usposobieniem. Wszakże tylko słów kilka mówiła zmarła świeżo cesarzowa Fryderykowa podczas pobytu swego w Poznaniu, kilka słów pociechy, kilka słów zapewnienia, że lepiej nam będzie, gdy Bóg zachowa przy życiu jej małżonka — a już Polacy zapisali w sercach swoich sympatycznemi głoskami imię szlachetnej Wiktoryi.

A dziś gdy monarchini ta schodzi ze świata, to my odrywamy myśl od twardej naszej doli, ażeby się przenieść na chwilę do pałacu żałoby i z żalem pożegnać tę, która wspólnie z małżonkiem swym podobno narodowi polskiemu pragnęła ocierać łzy, wyciskane brutalną dłonią żelaznego kanclerza. Niechaj już to pragnienie szlachetne, choć nieurzeczywistnione, będzie dla jej duszy zasługą przed Bogiem!

Niechby przynajmniej u zwłok wznioślejszej umysłem monarchini wzniosły się nieco z moralnego upodlenia dusze prześladowców naszego narodu! Ale płonne to spodziewanie! Prasa hakatystyczna radaby zagłuszyć sympatyczniejsze głosy współczucia w chwili zgonu cesarzowej Wiktoryi, a w przeciwieństwie do niej sączyć jad antypolskiej zawziętości do duszy niemieckiego narodu.

Już znowu oto zawadziło „Posenerce“ to, iż w ostatnich czasach kilku Polaków nabyło kamienice w Poznaniu. A w swej głupocie i szaleństwie domaga się „Posenerka“, ażeby już nie tylko Polaków, ale nawet prywatnych obywateli Niemców wykluczyć od nabywania gruntów, które przez zniesienie wałów powstaną, ażeby później Polacy nabyć ich nie mogli. Terytoryum fortyfikacyjne powinno być wyłącznie dla urzędników; dla nich powinny tam stanąć piękne domy, ażeby tam żyli sobie potem jak w raju.

Tego rodzaju pomysły nikczemnością swoją już teraz Niemców samych oburzają, nawet takich, którzyby Polaków w łyżce wody radzi utopić. Oburzają się, bo urzeczywistnienie takiej idei równałoby się wielkiej krzywdzie materyalnej nawet dla ogółu niemieckiego. Już i tak Niemcy sami sarkają na upaństwawianie i militaryzowanie licznych gałęzi zarobku i dorobku. Urzędnicy zawięzują sobie spółki, zakładają własne składy, budują domy; wojsko coraz bardziej odgranicza się w zaspokajaniu swych potrzeb od reszty ludności; miasto, o ile się da, również zagarnia przedsiębiorstwa, w których mieszkańcy szukaćby powinni i mogli zarobku. A ztąd zapytanie, coraz pilniejszej wymagające odpowiedzi, jak daleko ma się posuwać takie monopolizowanie źródeł zarobkowych i wyrywanie chleba z rąk ludności, obciążonej podatkami. Cóż to za przewrotność: nakładać na obywateli państwa coraz większe ciężary, a obniżać im jednę po drugiej gałąź zarobku. Z czego ta ludność ostatecznie będzie płaciła dziesięciny, z czego będzie sama żyła, gdy wszystko przechodzić będzie w ręce fiskusów rozmaitych, stowarzyszeń urzędniczych lub wreszcie miasta? A już dla nas Polaków, to takie socyalne zagarnianie i gruntów i przedsiębiorstw na korzyść militaryzmu i czynownictwa pruskiego jeszcze groźniejsze ma znaczenie ekonomiczne. Dla Niemców prywatnych jeszcze mogą spadać jakieś tam okruszyny, ale dla nas pozostaje chyba znana pruska figa.

A tymczasem potrzeb społecznych i narodowych u nas coraz więcej, potrzeb niezbędnych dla zdrowia i życia. I tak np. gdy się przebiegało ulice Poznania podczas letnich wakacyi, które się w tym tygodniu skończyły, ileż to bladych twarzyczek dzieci naszych, ile wątłych ciałek widać było na ulicach. Dobroczynną jest instytucya ofiarna kolonii naszych feryjnych, ale jakże niedostateczna, jak drobny tylko procent dzieci krzepi się świeżem powietrzem tych tygodni kilka! Powróciły wczoraj gromady naszych dziatek wzmocnionych i zdrowych, a więcej niż dziesięć razy tyle gawiedzi potrzebującej takiego samego wzmocnienia spogląda z żalem, że los im odmówił nawet na parę tygodni zdrowego pokarmu, zdrowego powietrza i zdrowego słońca. Gdyby tak przynajmniej jakie towarzystwo zajęło się wyprowadzaniem dzieci za miasto, postarało się dla nich o ruch na świeżem powietrzu i rozrywkę swobodną, to ileż dobrego mogłoby ono zdziałać obok kolonii feryjnych! Ale może władzom pruskim zawadziłaby i taka oto ludzka, miłością bliźniego podyktowana praca, możeby i w to uderzono obuchem antypolskiego systematu, — może!

A jednak kwestya zdrowia dalszych pokoleń naszych warta walki z wszelkiemi przeciwnościami.

Noster.

Wiadomości.

— ***Baczność! Nowo przybyli abonenci otrzymają bezpłatnie prócz początku drukujących się powieści wszystkie te numery „Pracy,“ w których dotychczas zamieszczony był malowniczy opis Wielkopolski, jeżeli nam nadeślą na dowód kwit abonamentowy oraz znaczek 20-to fenygowy na portoryum.***

— **Drobne** inserata czyli ogłoszenia przyjmujemy tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości z góry.

Administracya „Pracy.“

— **W jednym** z następnych numerów wydamy malowniczy opis powiatu poznańskiego, zachodniego i wschodniego. Ktoby więc z grona

Szanownych naszych Przyjaciół i Czytelników zechciał nam jeszcze nadesłać fotografie lub podobizny kościołów, klasztorów, pomników i t. p. z wzmiankowanego powiatu, niech raczy przesyłkę przyśpieszyć.

Wydawnictwo „Pracy.“

— **O obrazę majestatu,** *obrazę pruskiego ministerstwa, obrazę senatu akademickiego w Gryfii i obrazę rektora uniwersytetu w Gryfii* wytoczono pismu naszemu w maju r. b. śledztwo z powodu zamieszczenia artykułu w nr. 19-tym „Pracy“ z r. b. pod tytułem „Wydaleni z uniwersytetu.“

Na wniosek prokuratoryi przedsięwzięło w tej sprawie kilku wyższych urzędników policyi politycznej na mocy uchwały sądu okręgogowego w Poznaniu ścisłą rewizyą w lokalach redakcyi, administracyi, ekspedycyi i w prywatnem mieszkaniu wydawcy. Zabrano kilka pakietów różnych manuskryptów i skonfiskowano wszystkie będące w zapasie egzemplarze nr. 19-go „Pracy.“ Były przesłuchy i na policyi i przed sędzią śledczym, aż wreszcie po 10-ciu tygodniach umorzono sprawę na wniosek prokuratoryi i oddano nam zabrane manuskrypty i skonfiskowane numery „Pracy.“ Wyszliśmy więc tym razem z wielkich opałów wyjątkowo cało.

— **P. dr. Gantkowski,** znany lekarz z Witkowa, osiedla się w Poznaniu w miejsce p. dr. Ziółkowskiego, który Poznań opuszcza. Korespondent witkowski do „Lecha“ żegna p. dr. Gantkowskiego temi słowy: Pan dr. Gantkowski jako lekarz i jako człowiek zjednał sobie u każdego z mieszkańców tak z naszego miasta, jak i bliższej lub dalszej okolicy, bez różnicy wyznania i narodowości szczere zaufanie, szacunek i miłość. Z żalem go żegnamy, bo w nim bardzo wiele tracimy. Niech mu Bóg w dalszej drodze żywota jego wynagrodzić raczy to, co on dla nas dobrego czynił!

— **Na rozpoczęty sezon** polowań zwracamy baczną uwagę Szanownym Panom Nemrodom na renomowaną i zaszczytnie znaną fabrykę broni i amunicyi, istniejącą od roku 1864 go w Poznaniu, przy ulicy Rycerskiej nr. 3, pod firmą „J. Specht.“ Fabryka poleca swój wielki zapas broni według najnowszych wynalazków oraz wszelkie przybory myśliwskie i amunicyą w najrozmaitszych gatunkach. Na żądanie wysyłają się cenniki gratis i franko.

— **W celu** uzyskania godności doktora św. teologii ogłosił ks. lic. Kaźmierz Miaskowski, wikaryusz tumski, rozprawę o korespondencyi Erasma z Roterdamu z Polską. Druk rozprawy wykonano w drukarni „Pracy.“

— **Na odbudowanie** wieży na Jasnej Górze złożyła w dalszym ciągu p. Pernaczyńska z Kobylina 50 fen. w znaczkach pocztowych.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 566 mrk. 99 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Na fundusz** imienia Janiny Omańkowskiej złożył w dalszym ciągu p. dr. M. z Trzeciewnicy 2 mrk. 50 fen., zebrane podczas zabawy obywateli.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 458 mrk. 92 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopomoc“ 403 mrk. 19 fen., pozostają zatem u nas 55 mrk. 73 fen.

— **Wrocław.** Na tutejszym uniwersytecie uzyskał dnia 2 go b. m. tytuł doktora praw obojga pan *Romuald Paczkowski*, syn znanego fabrykanta, p. Jana Paczkowskiego z Poznania, i to ze stopniem „magna cum laude“ po napisaniu rozprawy p. t.: „Das Unternehmen des Hochverrats im Verhältnis zu Versuch und Vorbereitung.“ (Podjęcie się zdrady stanu w stosunku do usiłowania i przygotowania tejże).

Zmarli.

† **S. p. Tadeusz Woliński,** brat księdza prałata w Strzelnie i tutejszego mecenasa p. W., zmarł dnia 1-go b. m. w Tarnowie w Galicyi. Zmarły był nauczycielem przy gimnazyum w Inowrocławiu, Nakle i Krotoszynie, później redaktorem i współwłaścicielem „Gazety Poznańskiej“, później właścicielem kwartał wychodzącej „Nowej Gazety Poznańskiej.“ Po upadku tychże pism opuścił ś. p. Woliński Poznań, udając się do Galicyi przed 10-ciu laty, gdzie otrzymał posadę przy gimnazyum w Tarnowie i tam też żywot swój zakończył. R. i. p.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Przement,** dnia 30 go lipca 1901. Zebranie Tow. organistów pod opieką św. Wojciecha zagaja prezes Wojciechowski pochwaleniem Pana Boga i prosi ks. radzcę Mojzykiewicza na przewodniczącego niniejszego zebrania. Tenże urząd przyjmuje, a powitawszy jako gości przybyłych ks. dyrektora Poprawskiego z Sielca, ks. dra Kowalskiego z Płocka, p. Szpetkowskiego z Poznania i członka hon. ks. Jadomskiego, odczytuje porządek obrad, wedle którego na wstępie odśpiewują zebrani hymn „Veni creator“ z kancyonału, poczem ma wykład ks. dyr. Poprawski „Z historyi muzyki kościelnej“, za który prelegentowi serdecznie podziękowano. W dalszym ciągu następuje śpiew z kancyonału „Immolabit.“

Po obydwóch wykonanych śpiewach zabiera głos ks. dr. Kowalski i daje obszerne wskazówki, na które baczyć należy przy wykonywaniu śpiewu choralnego, za co mu również serdecznie podziękowano. Wniosek stawia człon. Samol i to w sprawie organmistrza dyecezalnego, który będzie przesłany Zarządowi Związku. Jako delegata na walne zebranie Związku jednomyślnie obrano p. Samola, na jego zastępcę p. Wojciechowskiego. Prezes Wojciechowski oznajmia, iż Tow. tutejsze przyłączyło się również do wniosku Tow. poznańskiego w sprawie urządzenia kursów dla organistów. Na zakończenie odśpiewują zebrani antyfonę „Per merita Sti Adalberti“, po której zebranie zamknięto.

Wawrzynkiewicz,
sekretarz.

— **Pakość.** Na walnem posiedzeniu Towarzystwa gimn. „Sokół“ w Pakości zostali następująci druhowie jako nowy Zarząd przez losowanie wybrani: Wojciech Różański jako prezes, Jan Wesołowski zastępca tegoż, Wawrzyn Nowakowski sekretarz, Kazimierz Szmytkiewicz skarbnik, Nowakowski i Cieślewicz ławnicy, naczelnikiem został nadal potwierdzony druh Stanisław Stroiński, zastępca tegoż Leon Leszczyński. Czołem!

Od Redakcyi.

Pani Jag. w Sł. per J. — Brudy były, są i będą, ale nie można wszystkich prać publicznie, gdyż jak we wielu przypadkach tak i w tym liczyć się trzeba z okolicznościami i z osobistościami i .... Resztę niech Szanowna Pani sobie dopowie!

Panu Mal. w Śmiglu. — Zamieść Pan najlepiej mały anons, a ofert będziesz miał Pan poddostatkiem, gdyż notatek informujących o osiedleniu się korzystnem i t. d. nie zamieszczamy więcej w części redakcyjnej. Mieliśmy bowiem w tej sprawie dużo i to dużo nieprzyjemności. Notatki takie były często skreślone ręką nieżyczliwego konkurenta.

Panu S. K. S. w Wągrówcu. — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale „szkoda czasu i atłasu“ rozpisywać się o pp. Barnumie i Bailleyu. Tym sprytnym Amerykanom daliśmy już po dwakroć należytą odprawę i ostrzegliśmy naszą łatwowierną publiczność przedwcześnie przed owym cyrkiem. Teraz już ci panowie są za górami, za lasami i drugi raz z pewnością do nas nie przyjadą, boby nasza publiczność, nauczona doświadczeniem, rozmówiła się z nimi z pewnością na seryo przez skórę.

Panu St. Klep. w Żernikach. — Wiersz nie nadaje się do druku.

Humorystyka.

Der grosse Krach!

Co to za popłoch? co za strach?
Co to za burza się sroży?
Dlaczego słychać: Weh! i Ach!
W państwie bojaźni Bożej!

O Weh'! man hört den trüben Klang,
Jak w strasznej sądu godzinie:
To zbankrutował pierwszy bank,
Potężny bank w Berlinie.

O Weh'! man hört den trüben Klang
Ach! niech przepadnie, niech szczeźnie!
To zbankrutował drugi bank,
Już nie w Berlinie — w Dreźnie.

O Weh'! man hört den trüben Klang,
I znowu próchno świeci,
To się rozsypał w gruzy bank
In Leipzig z rzędu trzeci.

O Weh'! man hört den trüben Klang,
W zawiści los jest uparty:
To prysnął jeszcze jeden bank,
Bank w Kassel, w Niemczech czwarty.

O, Ach! O Weh'! wie kann das sein?
Niech łzy obficie popłyną:
To jeszcze jeden bank am Rhein
Już dzisiaj jest ruiną.

Widzisz! niemiecka głowa nie z kapusty,
Hakatystów nikt nie dławił —

Krzyczą oni — bo oszusty,
A tymczasem krach w Wrocławiu...

O Weh'! man hört den trüben Klang,
Nowa plajta już w zaraniu,
Co za rwetes, co za g'stang,
Maluczko — a krach w Poznaniu...

He, he — Nemezis ostrzy kły!
Czas, przyjdzie czas na hakatę,
Za nasze bóle, krwawe łzy
Odbierzesz swą zapłatę.

Co to za popłoch? co za strach?
Co to za burza się sroży?
To krach, to krach, to wielki krach,
W państwie „bojaźni Bożej!"

Wygnaniec.



Roztargniony.

— Halo, halo!
— Halo!
— Proszę mię połączyć z Dr. Konsoltowskim!
— Dr. Konsoltowski... czem mogę służyć?
— Niech konsyliarz mnie zbada: mam zawrót głowy, bicie serca, suchość w gardle i wzdęcie żołądka!...
— Dobrze... pokaż pan język...



On wyostrzy.

— Człowieku, gorzałka tępi umysł!
— Nie szkodzi... ja jestem szlifierzem.



Nie zgadł!

Ksiądz. Przynieśliście dziecko do chrztu? dobrze! A pamiętajcie strzedz jego pierwszych kroków — pilnujcie, żeby był dobrym katolikiem i żeby sobie wyrobił porządną w świecie pozycyę. Lepiej, że będzie jenerałem niż szeregowcem.
Kum. Słusznie, księże proboszczu.
Ksiądz. Jakież imię chcecie mu nadać?
Kum. Kasia, proszę księdza proboszcza.



Klasycyzm i romantyzm.

Gdy chłopiec młody, a niewiasta antyk —
To powiedz o nim: „klasyczny romantyk";
Gdy dziad się bierze do dziewczeczki ślicznej —
Powiedz, że to jest „klasyk romantyczny".



Z Raptularza.

Jegomość pana Kacpra Doliwy herbu Bijgowkark.

Niedziela.

Zesłał mi Pan Bóg dwunastego syna,
Przetom z piwniczki dobył beczkę wina,
Piliśmy zacnie na uciechy one,
Niech będzie Imię Pańskie pochwalone!

Poniedziałek.

Miły gość zjechał dziś o słońca wschodzie,
Tedym o starym nie przepomniał miodzie,
Ów brat podpiwszy, gdy ważył mnie letce,
Szach! szach! i ucho obciąłem szlachetce.

Wtorek.

Snadnie gniew ima, snadnie i odlata!
Dzisiam przepraszał mościwego brata,
On wołał z płaczem: — „Łeb dla ciebie [zetnę!"
Wyschły małmazyi dwa gęsiory setne!..

Sroda.

Od rozczulenia wielce byłem chory,
Do głowy srogie biły mi humory,
Na lek mi przyszła myśl cale nie krzywa:
Pół kwarty gdańskiej i dwa garnce piwa.

Czwartek.

Zdechł roczny byczek od graniatej krowy!
Mój miły Boże! zdechł a taki zdrowy!
Tyle frasunku! Hej! i żyć nie miło!
Pękł dzban siwuchy: zaraz mi zelżyło!

Piątek.

Srogie ekspensa szlachcic miewa ninie:
Haniebnie wielki był jarmark w mieścinie,
Spotkałem kumów pod znakiem „Trzech [dzwońców"
I na muszkatel poszło pięć czerwońców.

Sobota.

Minął znów tydzień, jak inne tygodnie —
Trzebaż po pracy zabawić się godnie.....
Cyrulik w nocy ratował mi życie,
Morał: pij wino — nie wierz okowicie!...

*

Przerażony.

Żona. Czego ci się tak jeżą włosy?
Mąż (wstając rano). E... miałem okropny sen, cały się jeszcze trzęsę.
Żona. Cóż ci się śniło?
Mąż. Że twoja mama przyjechała.

*

Najszczęśliwszy.

Szczęśliwy ten, co się nie nudzi,
Co rączo mknie przez życia fale,
Lecz najszczęśliwszy pono z ludzi
Ten, co się *nie urodził* wcale.

* * *

Niebezpieczna reklama.

— To doprawdy skandal! nie ma dnia, żeby na kolei nie było karambola.
— A czy wie pan dlaczego to wszystko?
— ?
— To panie reklama Towarzystwa ubezpieczającego od wypadków.

* * *

Utyskiwanie Szmula Łapserdaka

nad zgubą stanu szlacheckiego.

Dawniej to były bogate szlachcice, co to hulali, aż się śmiała dusza! Ot, pan Zagłoba: za miodu szklanicę, choć ostatniego zastawiał kontusza!... A przepił kontusz, to żupan zdejmował, i pił z kompanią, bo był szlachcic szczery! Nic się nie pytał, nic się nie rachował, a czasem nawet ściągał hajdawery...

On do butelki pełen był odwagi, więc się go żadne nie czepiały troski i siedział u mnie prawie że pół nagi, aż go wykupił pan Wołodyjowski.

Dzisiaj na świecie wszystko się zmieniło, a czy jest lepiej, niechże mi kto powie? Szlachcic dziś wodę zapija, aż miło! nie da zarobić biednemu żydowi. Aż mi na brodę łza z oka upada, gdy mi się zacna przypomni osoba. Wiwat! karmazyn z dziada i pradziada, prawdziwy szlachcic, wielmożny Zagłoba!

* * *

Z Ameryki donoszą nam zawsze coś nowego! Pewien kupiec we Filadelfii handlował rozmaitościami. Jednego wieczora przypomniał sobie, że sprzedał siodło, ale na żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć komu. Po długim namyśle, woła nakoniec kupczyka i mówi: napisz na każdym rachunku siodło, ci co go nie odebrali, zapewne się zgłoszą i każą je wykreślić z rachunku. Kupczyk uczynił, jak mu pan zalecił. — W zwyczajnym czasie, kiedy się rachunki wypisują, rozesłał je, i o cudo! trzydzieści osób zapłaciło za siodło, ponieważ rachunku szczegółowo nie przeglądali, lecz tylko spojrzeli na sumę. Kupiec zdziwił się nadzwyczajnie i nie wiedział co uczynić, nakoniec postanowił pieniądze zatrzymać, aby go nie posądzono o złe prowadzenie książek handlowych.



W pociągu.

— Panie konduktorze, proszę o miejsce w stosownym przedziale.
— Służę pani przedziałem „dla dam".
— Nie znoszę dzieci.
— To "dla niepalących?"
— Ja właśnie palę.
— W takim razie pojedzie pani w przedziale ogólnym...

---

w *Górczynie* p. Poznaniem u p. *K. Skowrońskiego* ul. św. Łazarza 41.
w *Główmie* pod Poznaniem u p. *J. Drzewieckiego.*
w *Ostrowie* w księgarni *W. Leitgebra,*
w *Mogilnie* u p. *Fr. Wiśniewskiego,*
w *Wrześni* w handlu cygar p. *J. Starkiewicza.*
w *Inowrocławiu* w Ekspedycyi *„Dziennika Kujawskiego.“*
w *Inowrocławiu* w księgarni p. *Kompfa* przy ul. Fryderykowskiej nr. 5.,
w *Śremie* w handlu papieru i dewocyonalii p. *C. Wojciechowskiego.*
w *Wągrówcu* w handlu cygar „Havana“ p. *Samolińskiego.*
w *Bydgoszczy* w księgarni p. *L. Neumanna* przy ul. Fryderykowskiej 1.

w Prusach Zachodnich:

w *Pr. Starogardzie* w księgarni p. *Nowaka,*
w *Czersku* w księgarni pana *Leona Zyndy,*

na Górnym Śląsku:

w *Opolu* w ekspedycyi *„Gazety Opolskiej“,*
w *Król. Hucie* w księgarni p. *J. Mateja* przy ul. Puddlera 30. i u p. *Jana Szeja* przy ul. Hajduka,
w *Król.-Hucie* w księgarni p. *A. Komendzińskiego.*
w *Rożdzieniu* u p. *Franciszka Richtera* w domu p. Walitza naprzeciw kościoła farnego i u p. *Jana Badury* przy ul. Bogufała — Traugottstr. nr. 10,
w *Bogucicach* u p. *Franciszka Marcola,* i u p. *Pawła Susa.*
w *Mikucicach* u p. *Józefa Sieradzona.*
w *Janowie* przy Mysłowicach u p. *A. Spiera,*
w *Godullahütte* p. Morgenroth u p. *Michała Bromma,*
w *Rudzie* przy Biskupicach u p. *Józefa Białasa,*
w *Rozbarku* p. Bytomiem w księgarni p. *Glazowskiego,*
w *Katowicach* w księgarni p. *Antoniego Stoca,* obok domu towarowego Bobreka,
w *Dorocie* p. Zabrze u p. *Michała Blachuta* ul. Polna 6,
w *Gliwicach* w księgarni p. *Jasiczka.*
w *Brześciu* p. Miserau u p. *Józefa Lazara.*
w *Pyskowicach* u p. *Feliksa Orlickiego*

w Niemczech:

w *Baukau* p. Gelsenkirchen u p. *Michała Wojciekiewicza* Kraugestr. 48,
w *Bruch* pow. Recklinghausen u p. *Ludwika Kubiaczyka,* mistrza szewskiego Marienstr. 346 przy kościele katolickim.
w *Lüssum* p. Blumenthal i. H. u p. *A. Kołowskiego.*
w *Bremenie* u p. *Jana Marcinczaka* przy Stefensweg 98 II,
w *Misburgu* przy Hanowerze u p. *Michała Maciejewskiego* pod No. 114.
w *Botropp* u p. *Ludwika Procek.*
w *Ueckendorfie* (Westfalia) u pana *Stanisława Kunzego,* Bochumerstr. Nr. 40.
w *Helbra pod Eisleben* w Saksonii u p. *Sebastyana Oremka* Wilhelmstr. 4.
w *Gerschede* u p. *Wiktora Gimzickiego* przy Marsstr. 5.
w Bernburgu u p. *Józefa Spychalskiego,* Rosinenberg;
w *Wanne,* Westfalia, u p. *Franciszka Mańkowskiego,* Bahnhofstr. 98.
w *Bochum,* Westf. u p. *Ignacego Kwaśniewskiego,* handel win i cygar przy Kaiser Friedrichplatz 2.
w *Hörde II.* u p. *Antoniego Strojnowskiego,* Bickernst. 18.

w Galicyi.

w *Krakowie* w księgarni p. *D. E. Friedleina* i u p. *S. A. Krzyżanowskiego,*
w *Lwowie* u pp. *Gubrynowicza i Schmidta,*
w *Stanisławowie* u p. *Jasielskiego i Sp.,*
w *Białej* u pp. *Kubaczki i Langa,*
w *Sanoku* u p. K. *Pollaka.*
w *Rzeszowie* u p. J. *A. Pelara,*

w Stanach Zjedn. Półn. Ameryki:

w *Providence* u Wieleb. księdza *Duczmala* przy katedrze św. Piotra i Pawła,
w *Duluth Minn,* Sup. T. Delivery P. O. u p. *Antoniego Grabarkiewicza.*
w *Milwauke Wis* w Redakcyi *„Kuryera Polskiego“* Box 68.
w *Chicago* w Redakcyi *„Sztandaru“* przy 796 South Ashland Avenue.
w *Chicago J. U.* u p. *Józefa Kotowskiego* przy Holle-Ave 612.
w *Memphis Tenn* u p. J. *Nowaka,* 35 Madison Str.
w *San Francisco* u p. *Ignacego Kołasa* przy 3 Polk Str.
w *Baltimore, Md.,* Północna Ameryka, u Imć. Księdza *Karola Kotlarza,* wikarego przy kościele św. Stanisława 1733 Aliceanna St.

w Brazylii:

w *Curytybie* w Redakcyi *„Prawdy“,* Caixa Postal No. 197,
w *Curytybie* u p. *Cezarego Szulca,* Rua Gracioza No. 6.

W wszystkich tych agencyach „Pracę“ i „Czytelnię Polską“ od każdego czasu zaabonować można.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.



Przerwany pojedynek.

Album „Pracy.“ Drukiem „Pracy.“